

M.B.
im.
L. W.
w
Łodzi

W numerze: **Pięć lat kulturalnej Łodzi** • LUCJUSZ WŁODKOWSKI **Troje z Instytutu**
EWA OSTROWSKA **Najpierw padał długo ulewny deszcz** • **Ogólnopolski Festiwal**
Poezji • **Zewsząd o wszystkim** • **Konkurs** • **Nowela kryminalna**

odgłosy

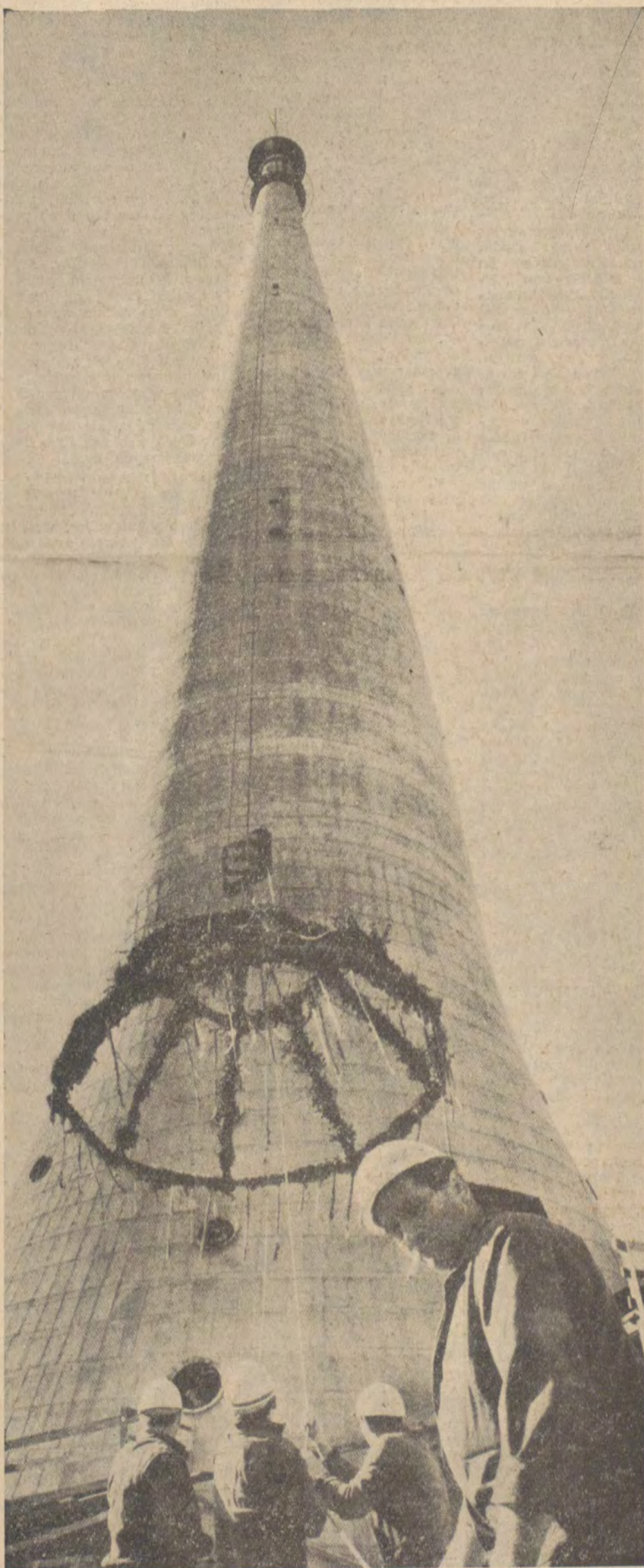


6 (690)

7. II. 1971 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



TADEUSZ GICGIER

W SPRAWIE ODPOWIEDZIALNOŚCI

PRZEŻYWAMY ostatnio szczególne dni. Prasa i radio donoszą o coraz to nowych inicjatywach i przedsięwzięciach wychodzących naprzeciw kłopotom i troskom naszego społeczeństwa trwa ogólne, zdrowe poruszenie, obejmujące wszystkie rejony kraju, wśród nich i te, które egzystowały przez ostatnie lata tyle spokojnie, co miernie. Był to zresztą spokój pozorny, czego dowiodły wydarzenia grudniowe.

Tamten dramat jest już jednak za nami, ulegamy powoli, choć nie bez oporów, ogólnej atmosferze, wstępują w nas nowe zasoby energii, odzywa się „chęć tworzenia”.

Myszę tu oczywiście o tworzeniu w tym ogólnym sensie, niekoniecznie literackim. Choć jedno z drugim ma sporo wspólnego. I tu i tam obowiązuje duża wiedza społeczna i życiowa, samokontrola, poczucie odpowiedzialności, i tu i tam szkodzi przerost ambicji, zbytnie uleganie cudzym wpływom.

Przytrzymajmy się jednak sfery życia ogólnego. Powiedzmy sobie od razu, że centralny styl pracy i pewne metody praktykowane do grudnia, niektórym ludziom w Polsce doskonale odpowiadały. Także w kulturze, chociaż nie tylko w kulturze. Bo cóż to za znakomite ułatwienie sobie życia, ów styl „odgórny”, hermetyczny, urzędowy, przekreślający z miejsca wszelką dyskusję. Jakże pełne zaspokojenie miłości własnej i ambicji, często wygórowanych i bez pokrycia, ta metoda administrowania, polecenia, zarządzania, komen derowania wreszcie — zamiast prowadzenia równorzędnego dialogu, dyskusji, konsultacji, współpracy. A niech no ktoś spróbował zakwestionować tę metodę, zwłaszcza, jeśli usadowiła się ona na wysokim szczeblu. Wiadomo, że szczebla łatwiej bić po głowie.

Nazwałem swój felieton „W sprawie odpowiedzialności”. Otóż myślę, że podobnie jak nieporozumieniem jest obarczać odpowiedzialnością za wszystko zło jedną lub trzy osoby, tak i błędem byłoby sprowadzanie problemu do „niektórych ludzi w Polsce”. Wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu odpowiedzialni, bowiem od postawy każdego z nas zależy, czy zło się rozwinie, czy też zostanie w porę nazwane, odizolowane, zduszone w zarodku. Uderzmy się w pierś: ileż wokół nas — i w nas — wygodnictwa, ileż przemilczeń „dla świętego spokoju”, nie mówiąc już o pospolitym asekurantwie, lizusostwie, karierowiczostwie. Aby oczyścić klimat życia społecznego, musimy wytepić te chwasty. Wydaje się, że jest po temu okazja, a i na oparcie we władzach można liczyć.

Nie zaszkodzi przy tym sięgnąć do skarbnicy myśli ludzkiej. Bernard Shaw powiedział kiedyś, że (cytuję z pamięci) „Człowiek rozsądny dostosowuje się do świata, człowiek nierozważny próbuje dostosować świat do siebie — dlatego wszelki postęp zależy od nierozważnych”. Myślę tu o nierozważce szczególnego gatunku, jeśli tak można rzec — nierozważce konstruktywnej. Bo przekładając ów cytat na język konkretny, język współczesności, idzie tu o tak zwanych ludzi niespokojnych, ludzi wymagających, często (i słusznie!) niezadowolonych, ludzi mających odwagę nazywać rzeczy po imieniu, jednym słowem tych, których do niedawna uważano tu i ówdzie za „zakale społeczeństwa”, „element krytykancki”, i przy pierwszej lepszej okazji (kompresja etatów!) zwalniano z pracy. Widzę więc dużą zbieżność zacytowanej „złotej myśli” z tym, co zostało powiedziane na niedawnej naradzie aktywu partyjnego Stolicy.

DALSZY CIĄG NA STR. 4

KAROL BADZIAK

KĄDZY CHCE BYĆ KONWOJENTEM

Wiedziałem w naszym mieście już różne kolejki, ale tak długiej na tak małej przestrzeni jeszcze nie oglądałem. Pomieszczenie jest stosunkowo tylko nie wielkie, to znaczy tylko w stosunku do ilości osób w nim przebywających, gdyż w ogóle jest rozległe. W wijącej się jak meander kolejce same kobiety, spokojne, pogodne, siedzą (kolejka jest się dząca) bez tego nerwowego napięcia, jakie cechuje wszelkie inne kolejki. Kobiety robią wrażenie, że mają czas. Ich celem jest małe okienko wydrążone w ścianie na takiej wysokości, że człowiek średniego wzrostu musi nogi lekko ugiąć w kolanach. W okienku siedzi również kobieta, ale jest to kobieta urzędowa. Rejestruje i wydaje numerki, z którymi petentki udają się do poszczególnych pokoi ków, gdzie już inne kobiety urzędowe oferują im pracę. Całe biuro jest sfeminizowane od piwnic aż po strych. Znajdujemy się bowiem w Wydziale Zatrudnienia. Wydział znajduje się w gmazysku wielkim jak fabryka. W rzeczy samej jest to budynek pofabryczny przerobiony na biurowiec.

Cisnie się na usta pytanie, dla czego w kolejce stoją (siedzą) sa

me kobiety. Skądinąd wiadomo, że we wszelkich naszych urzędach, a w tym i w agendach rad narodowych nie stosuje się wobec petentów segregacji według płci, ani wszelkiej innej. Otóż Wydział Zatrudnienia jest wyjątkiem. W poniedziałki, środy i piątki przyjdą muje kobiety, we wtorki, czwartki i soboty załatwia mężczyźni. Dawniej i ten urząd miał charakter koedukacyjny, lecz wiele osób tu przychodzących zapomniało w trakcie, że poszukuje pracy, a zaczyna szukać przygód. W ten sposób Wydział Zatrudnienia zamienił się w dom schadzek, nabrał dwuznacznego charakteru. Władze zapewne doszły do wniosku, że młodość przeskadza nie tylko w pracy, ale nawet i w poszukiwaniu pracy i zarządzili rozdział.

Proszę więc sobie wyobrazić, jakie było moje zaskoczenie, kiedy wszedłem do tego urzędu w celach, oczywiście, zawodowych uzależnionych w moją stronę chyba z trzysta par kobiecych oczu, odpowiednio, wiadomo, podmalowanych. Ale to był dopiero początek konsternacji. Kilka ko-

DALSZY CIĄG NA STR. 3



Trzy fakty z ostatnich dni skłaniają znowu do podjęcia tematyki niemieckiej: zjazd CDU, wizyta kanclerza Brandta w Paryżu i dwudniowe rozmowy z prezydentem Pompidou oraz debata nad polityką zagraniczną w Bundestagu. Każdy z nich wymaga oddzielnego potraktowania, chociaż niewątpliwie układają się w jeden logiczny ciąg.

XVIII PROGRAMOWY ZJAZD CDU w Duesseldorfie charakteryzował się przede wszystkim ostrym atakiem na politykę socjaldemokratycznego rządu oraz gwałtownym spięciem między przedstawicielami organizacji młodzieżowej z Hamburga a czołowymi działaczami CDU.

Ton krytycy pod adresem obecnego gabinetu bońskiego nadał swym referatem Barzel, który aktualną politykę nazwał „polityką słabości”, prowadzącą do „socjalizacji”, ingerencji „zagranicznych sił komunistycznych” i podporządkowania się — w wyniku układu z ZSRR — „hegemonii radzieckiej”, sam zaś rząd Brandta określił jako „najslabszy i najbardziej krótkowzroczny, jaki mieliśmy dotychczas”.

W nieco łagodniejszym tonie utrzymał swe wystąpienie Schroeder. Ale i on odmówił poparcia programu obecnego rządu, krytykując go za podważenie układu ze Związkiem Radzieckim w „niekorzystnym momencie”.

Po wielogodzinnej dyskusji zarząd CDU przedstawił wniosek, w którym m. in. podkreśla się, że ostateczne ustalenie granicy zachodniej Polski może nastąpić dopiero w układzie pokojowym. Właśnie ta część wniosku stała się przedmiotem ostrego ataku ze strony grupy młodych chadeków z Hamburga, którzy zażądali wyraźnego uznania granicy na Odrze i Nysie. Wtedy, z największą pasją, replikowali: Barzel, Czaja, von Bismark...

Komentując to ostre starcie w niektórych zachodniemieckich publikacjach zwraca się uwagę na rozdziwki, jakie coraz częściej pojawiają się między młodymi a starymi w szeregach CDU. Jak wiadomo, partia Kiesingera jest przekonana, że jesienią 1973 roku, w kolejnych wyborach, odzyska władzę. Dziś kandydatem nr 1 z ramienia tej partii na kanclerza NRF jest Barzel, ale jego pozycja przy ponawianiu ataków chadeckiej młodzieży może ulegać osłabieniu.

Zjazd w Duesseldorfie wykazał, że program CDU nie zmienia się i że — jak zapowiedział Kiesinger — chadeka będzie nieustannie walczyć z wszelkimi „socjalistycznymi” koncepcjami Brandta—Scheela zarówno w zakresie polityki wschodniej, jak również wewnętrznej.

Tymczasem BRAND GOŚCIŁ W PARYŻU, gdzie odbyło się 30 spotkanie na szczycie francusko-zachodniemieckie (zapoczątkowali je de Gaulle i Adenauer we wrześniu 1958 roku). Główną treścią rozmów było dalsze zintegrowanie Europy zachodniej. Każda ze stron ma jednak inny pogląd, co należy robić w kolejności, aby wyznaczony cel osiągnąć. Francja gotowa jest zacieśnić współpracę gospodarczą i polityczną wewnątrz EWG, ale przeciwstawia się powstawaniu ponadnarodowych organizacji, NRF natomiast nie tylko je popiera, lecz nawet inicjuje. Brandt, być może nie chcąc otwierać jeszcze jednego frontu, poszedł w Paryżu na pewne kompromisy. Po prostu wiele spraw odłożono. Wykorzystały to skwapliwie niektóre dzienniki bońskie, które zarzuciły kanclerzowi, iż zmarnował dotychczasowe wysiłki NRF.

Paryskie rozmowy miały miejsce tuż PRZED DEBATĄ W BUNDESTAGU nad polityką zagraniczną NRF. Podstawę stanowiło sprawozdanie Brandta „O sytuacji narodu”. Kanclerz podkreślił w nim, że polityka jego gabinetu obliczona jest na likwidowanie napięć i że znajduje poparcie sojuszników zachodnich. Szczególnie wiele miejsca poświęcił stosunkom z NRD oraz problemowi Berlina zachodniego.

Do tych głównie elementów oświadczenia nawiązał Barzel zarzucając Brandtowi łagodny ton wypowiedzi wobec NRD oraz mało energiczne stawianie problemów Berlina zachodniego.

Debata przyniosła w sumie usztywnienie frontów. Dotyczy to ratyfikacji układów z ZSRR i Polską oraz poprawy stosunków z NRD. W tych punktach stanowiska rządowej koalicji i opozycji są rozbieżne. Styczne płaszczyzny — jak podkreślił Brandt — odnoszą się do konieczności utrzymania NATO, rozbudowy EWG i osiągnięcia zadawalającego rozwiązania kwestii berlińskiej. Jak widać, w polityce zagranicznej jest ich nie za wiele...

Odnoszone w chronologicznej kolejności wydarzenia w NRF potwierdzają powszechne przekonanie, że rok bieżący będzie wielokrotnie kierował naszą uwagę na to państwo.

Ostatni tydzień, który tym razem nie przyniósł nadmiaru międzynarodowych wydarzeń, upływał również POD ZNAKIEM ZANIEPOKOJENIA SYTUACJĄ NA BLISKIM WSCHODZIE. Brak postępu w nawiązaniu pośredniej rozmowy między zainteresowanymi stronami i szybkie zbliżanie się terminu wygaśnięcia rozejmu zrodziło w krajach arabskich obawę, że Izrael może dokonać prowokacji zbrojnej, aby mieć pretekst do utrudnienia misji Jarringa. W chwili, kiedy piszę te słowa, kraje arabskie zdecydowały się postawić w stan pełnej gotowości bojowej swe armie.

Tymczasem wielka czwórka podejmuje aktywne starania, aby zapobiec jakimkolwiek komplikacjom w pokojowym rozwiązaniu problemu. Z jakim skutkiem — z pewnością będą czytelnicy wiedzieli w momencie, kiedy ten komentarz trafi do ich rąk.

W. SŁAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

Decybele atakują świat

„CHRISTIAN SCIENCE MONITOR” — LONDYN

Sam problem hałasu nie jest niczym nowym. Nowość polega na tym, że zaczęto go uważać za takie samo niebezpieczeństwo dla zdrowia człowieka jak spaliny.

Według danych, opublikowanych ostatnio w USA, od 6 do 16 milionów Amerykanów traci słuch wskutek hałasu maszyn produkcyjnych. Także wśród młodzieży amerykańskiej obserwuje się wysoki procent osób z wadami słuchu.

Stwierdzono eksperymentalnie, że hałas, nawet jeśli nie jest aż tak silny, żeby oświecić śpiącego, powoduje jednak niepokój, człowiek wstaje rano z uczuciem zmęczenia, chociaż nie przypomina sobie hałasu. Współczesna aparatura badawcza wykrywa fizjologiczną reakcję organizmu już przy hałasie równym 70 decybelom (hałas osobowego samochodu), mimo, iż niektóre doświadczenia potwierdzają reakcję organizmu na każdy dźwięk.

„Sfery hałasu” rozprzestrzeniają się tak błyskawicznie, że Amerykanin nie jest zabezpieczony przed jego skutkami ani w domu, ani tym bardziej w pracy.

Skończyło się ciche, codzienne życie bez huków maszyn fabrycznych i budowlanych, bez ogłuszającego ryku samolotów odrzutowych, bez ulicznej kafeonii przeróżnych dźwięków, zgiełku, warkotu, stukotu kół itp. itd. Współczesne domy mieszkalne w USA nie bez powodów są nazywane „komorami dźwiękowych tortur”. Śmieciarki, maszyny do zmywania naczyń, urządzenia klimatyzacyjne, odkurzacze, wentylatory, pralki i suszarki, froterki, radia, telewizory — słowem wszystko, twoży piekielny jęzgot cywilizowanej egzystencji człowieka. I rzecz nie polega na braku technicznych możliwości usunięcia hałasu, ale na tym, że współczesna Ameryka żyje się do niego przyzwyczaila i z pokorą podda je się jego torturom.

W odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych, wiele krajów europejskich, po II wojnie światowej, wprowadziło surowe systemy walki z hałasem, przede wszystkim w

budownictwie mieszkaniowym.

Robert Newman, wicedyrektor znanej amerykańskiej firmy budowlanej, konsultujący sprawy akustyki, uważa za najważniejsze usunięcie z mieszkań dźwięków drażniących, które przeszkadzają ludziom w codziennym życiu. Przy budowie wielkich domów mieszkalnych nie bierze się w ogóle pod uwagę elementów akustyki, a przecież głównym problemem we współczesnym budownictwie jest izolacja dźwiękowa.

Pierwszym winowajcą w naruszeniu ciszy w domu są drzwi. Chronią mieszkanie przed intruzem, ale przepuszczają dźwięki. Często nie sięgają do podłogi, co umożliwia cyrkulację powietrza, ale zarazem ułatwia swobodną „cyrkulację” hałasów.

Niepożądane dźwięki atakują nas ze wszystkich stron. W dzień i w nocy. Wiele osób twierdzi, iż najbardziej męczący jest hałas wywołany przez środki transportu. Przeszkadzał on już nawet starożytnym Rzymianom. Juliusz Cezar zbudowany ze snu turkotem kół rydwanu, zakazał używania w Rzymie wszelkich pojazdów od wieczora do świtu.

Na ruchliwych skrzyżowaniach w godzinach szczytu, mieszkańcy współczesnego miasta jest wystawiony na bombardowanie dźwięków o intensywności około 95 decybeli (dla przykładu: hałas pracy młota mechanicznego). Hałas środków transportu mechanicznego można by zmniejszyć obniżając prędkość pojazdów, zakładając tłumiki, izolując wibrujące elementy silników, względnie przesuwając źródła hałasu. Koszt produkcji tłumików jest stosunkowo niski.

Z badań przeprowadzonych na autostradach kalifornijskich wynika, że natężenie hałasu, jaki wywołują samochody osobowe, mieści się w granicach 60—78 decybeli, przy szybkości około 30 mil na godzinę (jedna mila — 1,6 km). Przy szybkości 70 mil na godzinę, hałas wzrasta do 72—90 decybeli.

Czy, i kiedy, oprze się świat inwazji decybeli?

Podatkowi dezenterzy

„STERN” — HAMBURG

Zachodniemieccy przemysłowcy, którzy lokują swe dochody na tajnych kontach Szwajcarii, są na pewno godni potępienia. Ale cóż znaczy tych kilka milionów marek w porównaniu z kapitałami, o które zubożają kraj przemysłowcy NRF, korzystając z różnic w systemach podatkowych różnych państw.

W wyniku uchylania się od płacenia podatków, Republika Federalna i jej ludność, w okresie od 1965 roku, straciła około pięciu miliardów marek. Tylko w tym roku, jak to wynika z przybliżonych ocen ekspertów ministerstwa finansów, około 2 i pół miliarda marek odpłynie z NRF do „podatkowych oaz” w Szwajcarii, Liechtensteinie, Luksemburgu i na wyspy Bahama. Dla przykładu: suma ta odpowiada średniemu miesięcznemu dochodowi dwu i pół milionów robotników i urzędników Republiki Federalnej.

Aktualne do dziś ustawo-

rów i adwokata. Prawnik załatwia wszystkie formalności, obywatele szwajcarscy — zgodnie z przepisami powinno ich być kilku — obejmują funkcje w radzie administracyjnej, a pozostałe stanowiska rezerwuje dla siebie zarząd prawdziwych właścicieli firmy. Jednakże zachodniemieccy „dezenterzy podatkowi” wolą maskować swoje firmy, kompletując je często wyłącznie z obywateli szwajcarskich.

W szwajcarskim rejestrze handlowym figuruje około dwóch tysięcy kompanii, w których rolę wiodącą odgrywają Niemcy z NRF.

Możliwości, w większości całkowicie „legalne”, są różne. Na przykład niektórzy zachodniemieccy przedsiębiorcy sprzedają wyroby przemysłowe swoim własnym firmom, znajdującym się w Szwajcarii, po takich niskich cenach, że początkowo nie mają prawie żadnego zysku. W NRF taka operacja podlega minimalnym opodatkowaniom. Jednakże istotny dochód, uzyskany w wyniku dalszej sprzedaży tych wyrobów na rynkach światowych, zgarnia firma „szwajcarska”. Ale teraz już ten wysoki dochód podlega oczywiście nie zachodniemieckiemu, lecz szwajcarskiemu opodatkowaniu, które jest bardzo niskie. W dodatku, wyroby te omijają Szwajcarię i najkrótszą drogą, bo wprost z Republiki Federalnej, idą do miejsca przeznaczenia. Adresat otrzymuje jedynie rachunek z firmy szwajcarskiej, spełniającej funkcję niejako „skrzynki pocztowej” i przekazuje pieniądze na określone konto w banku Szwajcarii.

Taką właśnie metodą posługuje się, na przykład, właściciel stoczni w Bremie, Gerhard Luersen. Jego „szwajcarską” firmą „Schiffskonstruktionen” kieruje specjalnie wynajęty adwokat, Heinrich Streif. Koncern lotniczy „Dornier” zarządza firmą „Aero-Konsulter AG” w kantonie Zug. Jej zadaniem jest nabywanie i sprzedawanie patentów i licencji.

Szwajcarski liberalizm podatkowy opiera się na wyrafinowanej kalkulacji. Udziałem azyłu „dezenterom podatkowym”, Szwajcarię dzieli zgodnie z zasadą: „im więcej milionerów w kraju, tym lepiej”. W żadnym innym kraju na świecie nie przechowuje się w sejfach bankowych tak ogromnych kapitałów, jak w Szwajcarii.

Zdarza się, że ten lub inny kapitalista poczuje się zagrożony we własnym kraju, czy to z powodu strajków we Włoszech albo Francji, czy też nawet z powodu doświadczenia do władzy w Bonn socjaldemokratów. Wówczas przemieszcza on swoje kapitały do „krajów-oaz”. Jeden z prawników z Zurychu w rozmowie z korespondentem „Sterna” powiedział: „Gdy tylko w Bonn doszli do władzy socjaldemokraci, u nas natychmiast rozdziwniły się telefony”.

Elmar Pierot, deputowany do Bundestagu z ramienia CDU, właściciel wielkich posiadłości ziemskich, który nie omija sposobności, aby w

imieniu swojej partii żądał „bardziej sprawiedliwego podziału bogactw”, zainwestował niedawno całkiem solidne kapitały w swoją firmę „Adminwin” (Kanton Zug) i zagarnia już dodatkowe dochody.

Do podatkowych „emigrantów” wyższej klasy należą także „król domów towarowych”, Helmut Horten. Nim sprzedał część swych akcji na sumę przeszło 800 milionów marek, formalnie przeniósł swoje miejsce zamieszkania do Szwajcarii. W wyniku tej kombinacji nie zapłacił w Republice Federalnej ani jednego feniga podatku.

Kompanie „podatkowych dezenterów” zalały Szwajcarię i Liechtenstein. Milionerzy pomnażają swe kapitały posługując się „szyldami” i adresami kancelarii adwokackich, podstawionych firm pośredniczących oraz banków. Dwudziestu adwokatów szwajcarskich operuje szczególnie wielkimi sumami. Każdy spośród nich „reprezentuje interesy” ponad stu firm i zarabia około miliona marek rocznie.

W Liechtensteinie, do niedawna, nawet piekarze, dorzeczy i listonosze mieli prawo do zakładania firm dla wypłacalnych zagranicznych właścicieli kapitałów. Księstwo Liechtenstein pobiera od takich kompanii (nawet jeśli mają milionowe zyski) tylko jeden rodzaj podatku, którego wysokość nie przekracza 600 marek rocznie. Ta miniaturowa monarchia, położona w górnym biegu Renu, liczy około 20 tysięcy mieszkańców, ale „przygarbiona” do siebie aż 25 tysięcy zagranicznych firm.

Pragnąc zahamować nieustanny odpływ kapitałów, minister finansów Republiki Federalnej, Moeller, wszczął rozmowy ze swym szwajcarskim kolegą na temat ujednolicenia opłat podatkowych w obu krajach. Wygląda jednak na to, że trafi on na zdecydowany sprzeciw. Rzecz w tym, iż jego partner do rozmów, jeszcze półtora roku temu, sam utrzymywał w Lugano kancelarię adwokacką dla potrzeb „dezenterom podatkowych”. I jeszcze jedna okoliczność: naczelnik urzędu podatkowego w kantonie Zug, adwokat Hans Straub, jest równocześnie przedstawicielem stu trzech wiadomych firm, w tej liczbie również i zachodniemieckich.

Ministerstwo finansów kraju Hesji opracowało projekt ustawy zapobiegającej uchylaniu się od płacenia podatków. Spotkał się on jednak z ostrą krytyką firm szwajcarskich. Generalny dyrektor urzędu podatkowego Szwajcarii powiedział niedawno w Bonn: „Oznacza to pogrom obywateli Republiki Federalnej”.

Nim jednak dojdzie do tego „pogromu”, do Szwajcarii odpłyną dalsze miliardy marek. Dwadzieścia dwa miliony obywateli w Niemczech zachodnich, którzy pracują na podstawie umów o pracę i którym miesiąc w miesiąc skrupulatnie ściągają się podatki od uposażeń, posiadłości ziemskich, którymi nie kulisami” narodu.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

★ JAN KOPROWSKI — Notatki z Moskwy

★ ROMAN ŁOBODA — Przygoda...

★ BOGDA MADEJ — Wynalazek

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

KĄDZY CHCE BYĆ KONWOJENTEM

Dalszy ciąg ze str. 1

biet podbiegło do mnie z propozycją, żebym je kupił. „Niech pan mnie kupi!” — nawoływały. Pomiłując, że nigdy nie miałem smykałki do handlu, a do handlu ko bietami w szczególności, zbaraniałem kompletnie. Wprawdzie pracuję już z dziesięć lat, lecz w Wydziale Zatrudnienia nigdy nie byłem i stąd moja ignorancja. Po prostu kobiety wzięły mnie za personalnego, który poszukuje pracowników. Ponieważ nie lubię ludzi wprowadzać w błąd, a kobie tom w ogóle sprawić zawodu i robić nadziei, przyznałem się, że jestem dziennikarzem. Dopiero wtedy wpadłem. Dziewczęta zaczęły się licytować w narzekaniach, pretensjach, krytyce tego zacnego urzędu, który oferuje im tylko pracę sprzątaczek, salowych, konduktorek albo robotę w fabryce na trzy zmiany, gdy tymczasem jedna maż porzuciła, druga ma małe dziecko, trzecia ma chora matkę, a czwarta sama jest chora.

— Teraz, jak człowiek ma ukończone siedem klas, to nie ma dla niego innej pracy jak tylko miodła pisać — ubolewały. — Dawniej to można było jeszcze jakąś pracę umysłową podłapać, a teraz to bez matury ani rusz. Chyba, że się ma znajomość, protekcję, albo łapówkę komu w łapę da. Tak odważnie stawiały sprawę. A były to przeważnie kobiety młode, bez żadnych kwalifikacji i w większości bez owych siedmiu klas. Rozgoryczone, rozwiedzione, dziecięte, chore, wiele dotychczas nie pracowało nigdzie, tkwiły przy mężach. Mężowie pewnego dnia odeszli i teraz trzeba iść do pracy, pracy według nich poniżającej, bo fizycznej, ciężkiej mało płatnej.

Nie odważyłem się tym nieszczęsnym kobietom, z reguły przed czterdziestką, tłumaczyć, że same są winne swej sytuacji, że mogły się uczyć, że wcześniej po winny zdobyć jakieś kwalifikacje, że trzeba być przewidującym, że najdoskonalszy ustrój niewiele im pomoże, jak nie mają żadnego za wodu. Jest to bowiem prawda zbyt oczywista, a więc zbyt trudna do przyjęcia. Poza tym mówić tonącemu, że powinien już dawniej nauczyć się pływać, jest rze cza okrutna.

Gdyby o sytuacji na rynku pracy w naszym mieście sędzić z wrażeń, jakie się odnosi w tym urzędzie, powstałby obraz smutny, czarny i niesamowity. Można by są-

dzić, że w Łodzi panuje bezwzględne bezrobocie, codziennie tłumy kobiet atakują Wydział Zatrudnienia, domagając się pracy. Tymczasem sytuacja jest taka, że nie lu dzie pracy, ale praca ludzi szuka. W tej chwili Wydział dysponuje prawie tysiącem wolnych miejsc, zarejestrowanych jest tutaj około pół tysiąca. Łódź choruje na ewidentny brak rąk do pracy. Oczywiście nie są to zawsze posady dyrektorskie, choć i takie się zdarzają. Łatwo sprawdzić przeglądając w miejscowych gazetach rubryki „Pracownicy poszukiwani”.

A więc te 200 czy 300 kobiet w prawie milionowym mieście nie stanowią problemu ekonomicznego, stanowią jednak problem społeczny, problem moralny. Osobiście nie należę do apologetów opiewających działalność miejskich władz municypalnych, lecz muszę stwierdzić, że Wydział Zatrudnienia pracuje wyjątkowo sumiennie, bez większych obciążeń biurokratycznych. Przez parę dni obserwowałem stosunek urzędników tego Wydziału do petentów. Ci ludzie, naprawdę wykazują społeczny, obywatelski stosunek do swej pracy, ponadto mają świętą cierpliwość. Niestety, sytuacja osób bez żadnego wykształcenia, bez kwalifikacji jest rzeczywistość bardzo ciężka. Na szczęście stanowią oni nikły procent w stosunku do ogółu pracujących. Ale stanowią. Ażebym im przyjsz z pomocą Wydział organizuje co roku bezpłatne, trzymiesięczne szkolenie zawodowe. Ba, funduje im na ten okres niejako stypendia, nie ma jednak zbyt wielu chętnych.

Na marginesie: fundusz zapomogowy jest w Łodzi bardzo mały, w ub. roku wynosił 200.000 złotych, a i tego nie wykorzystano. Nie wydaje mi się to zbyt słuszone. Trudno sobie wyobrazić, żeby w tak dużym mieście było tak mało potrzebujących zapomogi.

Rzecz jasna, liczba zarejestrowanych osób, poszukujących pracy jest zwykle mniejsza od faktycznej. Nie przynosi to chluby Wydziałowi Zatrudnienia, ale ludzie wolą szukać pracy poza jego płecami. Zresztą zjawisko jest w ogóle zastanawiające i niepokojące. Rozmawiałem z dziewczyną po maturze technikum włókienniczego, która od września ubiegłego roku szukała pracy na własną rękę. Nie znalazła i w końcu przysłała do Wydziału Zatrudnienia. Za pytałem ją, dlaczego natychmiast po ukończeniu szkoły nie trafiła tutaj. Oto jej odpowiedź: „Najpierw jedna profesorka mi przyrzekła, że wystara mi się o coś atrakcyjnego, potem druga mi obiecywała załatwić, wreszcie sama z częłam chodzić po zakładach, lecz nigdzie nie mogłam znaleźć pracy zgodnej z moimi kwalifikacjami. Co prawda w „Emforze” zaproponowano mi pracę w charakterze krawcowej, ale ja nie po to kończyłam technikum, żeby być szwaczka. Do „pośredniaka” nie przychodziłam, bo slyszalam, że to jest ostateczność, zgłaszają się tylko ci, co sobie już nigdzie nie potrafią załatwić lepszej pracy.”

Przyznać należy, że „pośredniak” nie cieszy się faktycznie najlepszą reputacją, zwłaszcza

wśród „umysłowych”. Ci szukają najczęściej na własną rękę, za pośrednictwem znajomych, krewnych ciotek i wujków.

— Czym wytłumaczyć owa kieszka opinia, jaką cieszy się Wydział Zatrudnienia? — zadaje pytanie naczelnikowi tego urzędu, Henrykowi Piaseckiemu.

— Rozpowszechniają ją przede wszystkim różne nieroby, którym się nie chce pracować, a przychodzą do nas, żeby się tylko zarejestrować, żeby mieć alibi. „Kupuj ją” ja zaś ludzie, którzy uznają kult pleców, znajomości, kumoterstwa, choć niejednokrotnie poprzez Wydział, droga formalna, oficjalna mogliby otrzymać lepszą pracę niż krętą drogą przeróżnych znajomości i nacisków. Poza tym i za kłady pracy nie są bez winy w tym względzie. Często jeden zakład drugiemu podkrada pracowników, kaperuje.

*

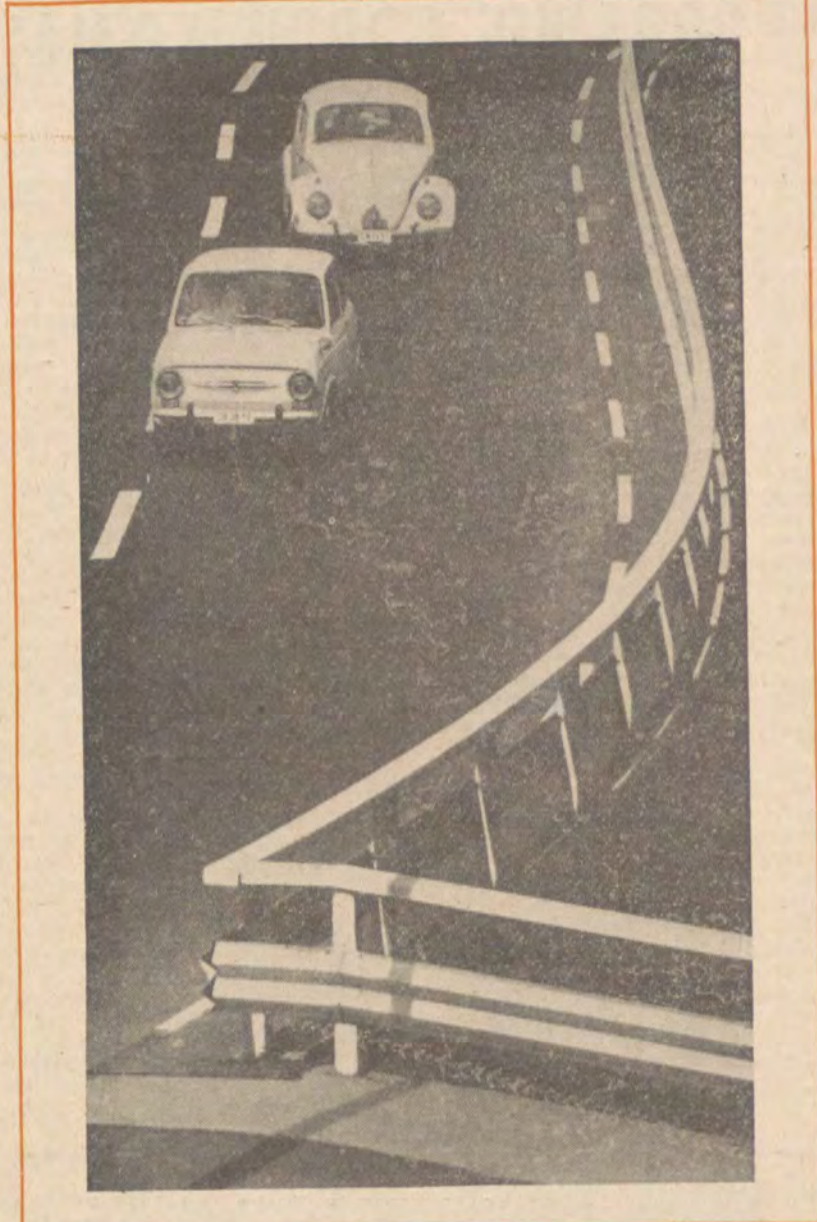
Wśród robotników największym powodzeniem cieszy się praca konwojenta. Każdy chce być konwojentem. W tym wypadku nawet wielkość zarobków się nie liczy. Ciekawe...

— Nie liczy się to co konwojent zarobi, ważne ile sobie może dorobić — oświadczył mi jeden z kandydatów na konwojenta. W dniu „meskim” kandydaci na konwojentów pikietują w bramie kierowników kadr, rzucając żartobliwie prowokująco „co pan ma, za ile i ile można u pana dokraść”. Twarze mają przeważnie ogorzałe. Jest to grupa obiboków, która szuka tutaj bardziej szczęścia niż pracy. Każdy łódzki kurator sądowy z łatwością rozpoznałby wśród nich swoich podopiecznych. Czasem kuratorzy sami z nimi tu przychodzą. Byłem świadkiem, jak jed na energiczna pani kurator ciągnęła tu za rękę swego pupila. Szedł jak na ściecie. Chłopak po maturze i po wyroku. Sympatyczny na urzędniczą rozmowę przed nim wachlarz wszelkich możliwości: kierownik ADM, akwizytor spółdzielni ogrodniczej, magazynier. Do wyboru. Drab nie wykazał jednak większego zainteresowania charakterem pracy, pytał tylko, za ile. W końcu rzucił obojętnie: „Proszę mi wybrać pierwszą lepszą z brzęgu według pani uznania, ja i tak nie mam zamiaru dłu go pracować. Mam inne plany życiowe.”

Na korytarzu spotkałem pracownika z fabryki automatów.

— Przyszedłem się rozejrzeć za czymś nowym — poinformował mnie. — U nas w firmie bałagan, chcę stamtąd czmychnąć. Właściwie to już mam inną pracę, znalazłem ją, ale przyszedłem popatrzeć, rozejrzeć się może jeszcze coś lepszego się trafi.

Takich jak ten sporo tu można spotkać. Niezadowoleni ze swej dotychczasowej pracy przychodzą w wolnym czasie szukać czegoś nowego, lepszego. Każdy chce so bie poprawić. Chce jak najdrożej sprzedać swą siłę, kwalifikacje i uzdolnienia. Ma do tego prawo. Niektórym nawet nie o zarobek



chodzi, że stosunki w pracy, konflikty z przełożonym, są powodem ich ucieczki z przedsiębiorstwa.

Także sporo notorycznych alkoholików błąka się po tym gmachu.

Co daje praca gońca?

dzisiaj gońiec	— 850 zł
za rok gońiec	— 850 zł
za 2 lata gońiec	— 850 zł
za 3 lata gońiec	— 850 zł
za 5 lat gońiec	— 900 zł
za 10 lat robotnik przyuczony	— 1300 zł

Co daje nauka zawodu?

dzisiaj uczeń	— 150 zł
za rok uczeń	— 320 zł
za 2 lata uczeń	— 600 zł
za 3 lata robotnik wykwalifikowany	— 1200 zł
za 5 lat robotnik wykwalifikowany	— 2200 zł
za 10 lat robotnik wykwalifikowany	— 3000 zł

Stanowią postrach kierowników kadr i tutejszych urzędników. Ta ki trochę popracuje, upije się i już ma zwolnienie w kieszeni. Znowu przychodzi, otrzymuje pracę i da capo. Zawodowcy. Stali bywalcy. Ich kartoteki osiagają niejednokrotnie grubość „Sagi ro du Forsytów”. Nieszczęśliwi ludzie, bardzo nieszczęśliwi. Ich ro dziny, żony, dzieci — jeszcze bardziej. Stanowią również problem społeczny, trudny do rozwiązania. Mają żal do całego świata, świat do nich ma żal. Najmniej kłopotu sprawiają młodociani. Tych się kieruje z reguły

tych miesięcznie, uczeń zaledwie 150 zł. Oto cała tajemnica. W Wydziale Zatrudnienia wisi charakterystyczna plansza, mająca odstręczać nastolatków od pogoni za kuszaczka kariery gońca.

Młodociani nie przejmują się jednak zbyt tym wykazem. Są niecierpliwi. Chcą zarabiać natychmiast. Zresztą jak się ma 16 lat, 10-letnią perspektywę wydaje się wiekiem. Poza tym nie można chyba od nich żądać odpowiedzialności za własne decyzje. Odpowiedzialność ta spada na ich rodziców.

KAROL BADZIAK

Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs

WIELCY ŁODZIANIE

Drodzy Czytelnicy! Prezentujemy Wam serię sylwetek postaci historycznych, związanych z Łodzią. Zadaniem Waszym będzie rozszyfrowanie tych postaci. Zasady są takie same jak w konkursie „Czy znasz architekturę Łodzi” — w losowaniu nagród weźma udział zarówno odpowiedzi tylko na jedno z zadań konkursowych jak i na wszystkie prezentowane w ciągu najbliższych tygodni. Oczywiście systematyczny udział w naszym konkursie zapewni uczestnikom większe szanse w losowaniu. Odpowiedzi — wyłącznie na kartach pocztowych — należy nadsyłać na adres: „Odgłosy”, Łódź, Piotrkowska 96 — „Wielcy Łodzianie”.

Wśród uczestników konkursu rozlosowane będą trzy główne nagrody w postaci bonów towarowych.
I nagroda — 2.000 złotych
II nagroda — 1.500 złotych
III nagroda — 1.000 złotych
oraz pięć wyróżnień w postaci cennych wydawnictw albumowych.



ZADANIE KONKURSOWE nr 6

W roku 1891 pracował jako robotnik w jednej z łódzkich fabryk, która dziś nosi Jego imię. Był wybitnym przywódcą polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego — w roku 1889 założył Związek Robotników Polskich, przedtem jeszcze jako uczeń gimnazjum działał w kółkach I Proletariatu.

Był jednym z głównych organizatorów SDKPiL i należał do grona najwybitniejszych przywódców i ideologów partii. Swoje prace publicystyczne ogłaszał m. in. na łamach „Czerwonego Sztandaru”, „Trybuny”, „Wolnego Głosu”, „Pracy”. Wielokrotnie więziony przez władze carskie i pruskie wiele lat spędził potem na emigracji. Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej reprezentował KPP w Międzynarodówce Komunistycznej i pracował w radzieckiej służbie dyplomatycznej.

Robotnicza Łódź wystawiła mu pomnik. JAK SIĘ NAZYWAŁ ÓW WYBITNY REWOLUCJONISTA, IDEOLOG, ROBOTNIK?

W SPRAWIE ODPOWIEDZIALNOŚCI

DALSZY CIĄG ZE STR. 1

Powtarzam za „Zyciem Warszawy”: „Nie zbędne jest wsluchiwanie się w głosy i opinie zarówno członków partii, jak i wszystkich ludzi, którzy z obywatelskich, patriotycznych pozycji wypowiadają się w sprawach partii i kraju”.

Szczególną rolę w owym „wsluchiwanu się” mają do odegrania dziennikarze. Nigdy nie lubiłem sloganów, posługuję się jednak jednym z nich, bardzo aktualnym. W swoim czasie mówiono, że radio i prasa są „transmisją mas”. Otóż, o ile ta transmisja „z góry na dół” została na ogół nieźle opanowana, to w odwrotną stronę jakości nie wychodzi. Zmiany, które ostatnio nastąpiły, odnawianie więzi z masami, jest dla dziennikarzy szczególnie zobowiązujące, stwarza szansę przywrócenia dziennikarstwu jego właściwej pozycji, istotnego powołania, które tkwi właśnie w służbie dla ludzi pracy. Czas chyba wyrównać proporcje. Czas zerwać z praktyką ukazywania tylko pozytywnych stron naszego życia, podejmowania tylko tych tematów, które są pewne i „dobrze widziane”, bo lepiej się nie narażać. Wspomniałem o zbiorowej odpowiedzialności, o tym, że nie można tylko mówić o „niektórych ludziach w Polsce”. Bo jest wątpliwa zasługa dziennikarzy schlebienie owym „niektórym ludziami”, niezależnie od tego, co ci ludzie reprezentują. Wystarczy tu wymienić tylko niektóre z paradoksów. Zdarza się, że od czasu do czasu ktoś z ludzi nauki, sztuki, oświaty otrzymuje taką czy inną nagrodę. Ileż to razy ukazywały się potem

relacje w prasie, gdzie tłustym drukiem podawano nazwisko osoby, która nagrodę wręczała, a jasnym nazwisko laureata. Ileż razy prezentowano zdjęcia z takich uroczystości, gdzie fotoreporter uchwycił kawałek ucha lub nosa osoby nagradzanej, za to wyeksponował w całej, z reguły okazałej krasie postać notabla. I czy jaż to, pytam się, zasługa, owo wbijanie w fałszywą dumę, która łączności z ludźmi raczej nie sprzyja... Mowa tu, rzecz jasna, o notablach, podatnych na tego rodzaju oddziaływanie.

Nielatwo więc niektórym ludziom zrezygnować ze stylu pracy i metod, o których się wspominało. Ludzie ci nie wyciągali z ostatnich wydarzeń żadnych wniosków. Co najwyżej zadeklarowali się za nowym kierownictwem, w myśl zasady, że (jak to powiedział pewien satyryk): „Nikt nie zaprzeczy, że masz rację, jeśli wygłosisz deklarację”. Chyba nie o to jednak chodzi. Bo przy stosowaniu dawnych praktyk słowa znów rozmiągają się z czy nami, a taka postawa została ostatnio zdecydowanie zakwestionowana, i to za kwestionowana centralnie.

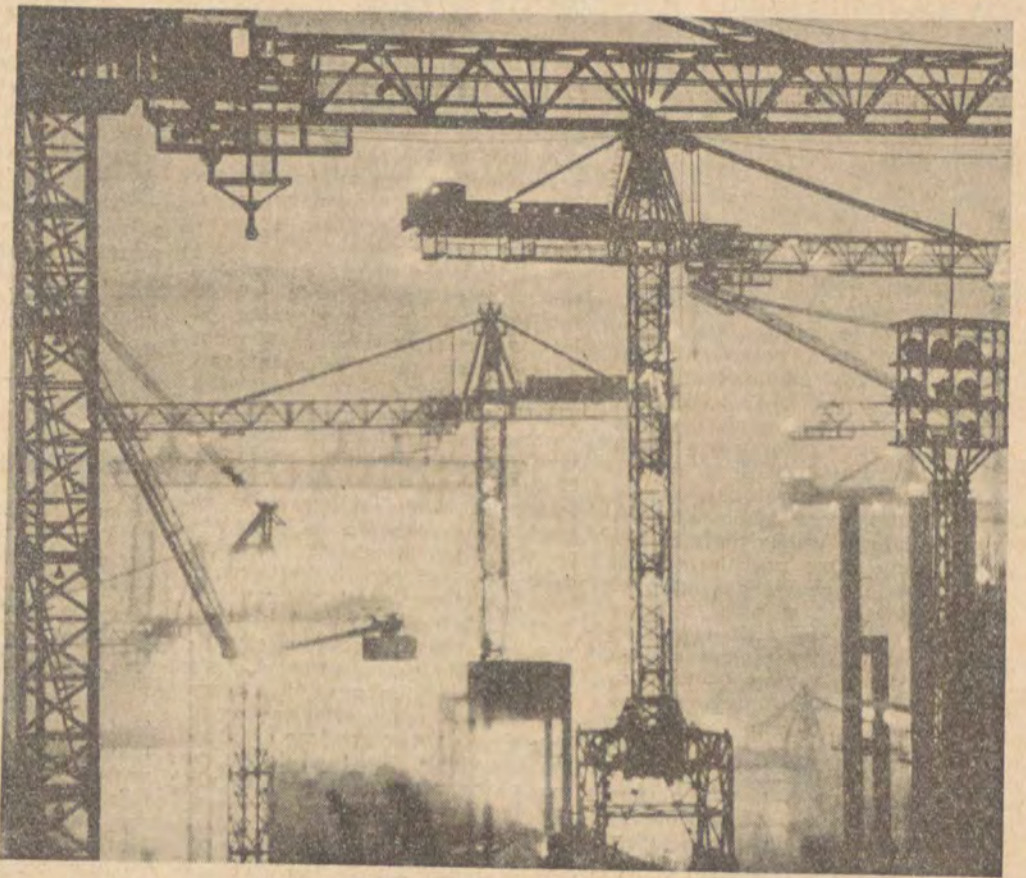
Co szczególnie podbudowuje, to zwrócenie baczej uwagi na sprawy bytowe, socjalne, a także kulturalne. Intencją wygo spodarowania większych środków na te cele, a obok tego — postawienie na ludzią pomysłowość, inicjatywę, inteligencję, co zwłaszcza w sprawach kultury ma doniosłe znaczenie. Widzę w tym nowe perspektywy zarówno dla twórców kultury, jak i dla działaczy kulturalnych. Tak że dla placówek życia kulturalnego. Pod jednym warunkiem: że przestanie u nas obowiązywać jeszcze jedno tabu, jakim były do niedawna sprawy trudności eko-

nomicznych, finansowych. Zastanawiając się tym tabu, kierownicy niektórych placówek kulturalnych organizowali wyłącznie tzw. imprezy dochodowe o miernej wartości, które zresztą, jak im się bliżej przyjrzeć, kosztowały wcale nie mniej od imprez wartościowych, tyle, że odbywały się bez specjalnego zachodu, po linii najmniejszego oporu. Nie mówię tu o przypadkach, gdy ci lub owi kierownicy bądź dyrekto-

rzy byli w takich przedsięwzięciach osobliście zainteresowani.

Dobrze by więc było, aby w sukurs wspomnianym na wstępie inicjatywom centralnym przysłyły inicjatywy regionalne, lokalne, instytucjonalne, abyśmy wszyscy poczuli się odpowiedzialni za kształt i treść naszego zbiorowego życia.

TADEUSZ GIGIER



POLONICA

RITTNER W PARYŻU

Jedną z młodzieńczych sztuk Tadeusza Rittnera, „Sąsiadka”, rozgrywa się w Paryżu, jej bohaterami są dwaj polscy studenci. Autor „Małego domku” i „Czerwonego bukietu” dobrze znał Francję oraz jej teatr. Pisał o nim interesujące eseje do polskich pism. Nie spodziewał się przelożona przez Jadwigę Kukulczankę i znanego aktora francuskiego (ożenionego z Polką) Jeana Rocheforta. Sztuka ta uka-

się niebawem w Theatre Moderne pod tytułem „Ko niec lata” („La fin de l'annee”). Donosi o tym dziennik „Le Figaro” w numerze z 17 grudnia, przynosząc zdjęcia z próby. Reżyseruje Daniel Leventge, główne role grają świetni aktorzy: Michel Auclair, Anne Carrere (doktorowa), grana w niedawnym spektaklu warszawskim przez Antoninę Gordon-Górecką, Xavier Gelin i Andre Falcon. Tak więc sezon 1970-1971 może być uznany za „polski”. Wystawiona 7 II stopada „Matka” Witkacego przekroczyła już 60 przedstawień. Niebawem mają wejść w próby utwory Trzebińskiego, Cwojdzńskiego i J. Dobrzańskiego.

Co do Rittnera, czeka go może renesans europejski. Zapewne przypomni i Wiedeń tego polskiego pisarza, który niemal całe życie spędził nad Dunajem.

W. N.

PISARZ BULGARSKI O POLSCE

Na schyłku 1970 roku ukazała się w Sofii, nakładem Wydawnictwa „Bulgarski Pisatel” książka Niedjalko Miesieczkova pt. „Felek stana muž” (Felek staje się mężczyzną). Tom składa się z dwu części: pierwsza zawiera utwór tytułowy, który można by nazwać małą powieścią, albo dużym opowiadaniem o wydarzeniach w okupowanej Warszawie, natomiast w części drugiej pt. „Raskazy i legendy” autor pomieszczył m.in. legendę o Wandzie, co nie chciała Niemca, o smoku wawelskim i jeszcze kilka innych. Książka Miesieczkova jest rezultatem jego kilka krotnego pobytu w Polsce. W czasie ostatniego pobytu przed dwoma laty Miesieczkow przebywał również w Łodzi, gdzie m.in. był gościem redakcji „Odgłosów”, Mamy nadzieję, że

jego najnowsza książka jeśli nie w całości, to przynajmniej w dużych fragmentach zostanie przetłumaczona na język polski.

AUSTRIA — POLSKA

Ukazał się kolejny, numer nieregularnego periodyku „Osterreich-Polen”, wydawanego przez Towarzystwo Austriacko-Polskie w Wiedniu. Numer, wydany jak zawsze na dobrym papierze, zawiera ciekawy materiał, wzbogacony licznymi zdjęciami. Znajdujemy w nim m.in.: artykuł o Adamie Rapackim, następnie obszerną relację Przemysława Smolaraka „Polska na morzach świata”, rozważania Ryszarda o Wojny po podpisaniu układu Polska-NRF oraz duży esej Haliny Donath „Boże Narodzenie w Polsce”. Numer zawiera ponadto artykuły poświęcone problemom gospodarczym, kronikę wydarzeń artystycznych

(głównie pod kątem współpracy austriacko-polskiej) i szereg ogłoszeń polskich firm eksportowych. Dodajmy, że jest to już 77 z kolei numer czasopisma, poświęconego — jak głosi podtytuł — kulturze i sprawom gospodarczym.

„INOSTRANNAJA LITERATURA” O POLSCE

W grudniowym numerze w rubryce „Z miesiąca na miesiąc”, publikuje notatkę o odbytych ostatnio w Warszawie drugim Między narodowym Zjeździe Tłumaczy Literatury Polskiej. Notatka zawiera krótkie omówienie najważniejszych problemów dyskusowanych na zjeździe, w skrócie przedstawia jego przebieg, a także informuje, że w zjeździe brało udział około 100 tłumaczy z 20 krajów, t.j. Dani, Finlandia, Francja,

Hiszpania, Japonia, Jugosława, Włoch, Mongolia, Meksyk, Norwegia, Szwecja, Związek Radziecki, Włoch. Między innymi radziecki przy pomina również, że prace zjazdu toczyły się w atmosferze smutku po śmierci wielkiego polskiego poety, Juliana Przybosa.

Ten sam numer zawiera informacje o muzeum w Oświęcimiu, jego zbiorach i nowych formach działalności. Między innymi podaje kilka przykładów wydania przez muzeum w roku ubiegłym przewodników w językach: angielskim, francuskim i rosyjskim i numeru „Oświęcimskich zeszytów” Piszcie także o stałe powiększanych zbiorach archiwum muzeum oświęcimskiego i jego pracach nad nowym, uzupełnionym wydaniem „Kroniki obozowych wydarzeń”.

Trzeci poloniceum w tym numerze poświęcone jest mini-jubileuszowi ty-

godnika — „Perspektywy”, „Inostrannaja literatura”, charakteryzując tygodnik, wymienia niektóre cykle artykułów, na przykład o reformie szkolnictwa, o przygotowaniu nowych kadr do pracy w dziedzinie ekonomiki i kultury, wspomina także o jednej z najpopularniejszych rubryk „Perspektywy wieku XXI” i krótko omawia wywiad redaktora naczelnego „Perspektyw”, Dobrosława Kobielskiego, zamieszczony w „Trybunie Ludu”.

Trzy informacje o Polsce miłośnikom uzupełnia rysunkami Szymona Kobylskiego, przedrukowanymi z „Polityki”.

(B.M.)

POLONICA

JÓZEF ŚMIALOWSKI

Powstanie styczniowe w okręgu łódzkim

WIĘKSZOŚĆ miast dzisiejszego łódzkiego okręgu przemysłowego do połowy XIX w. nie odgrywała większej roli politycznej w życiu Polski. Przemiany jakie na tym obszarze nastąpiły w pierwszej połowie XIX wieku zdecydowały o tym, że polityczna rola miast okręgu łódzkiego, a szczególnie Łodzi, zaczęła szybko wzrastać. Wpływał na ten proces wzrost znaczenia politycznej roli klasy robotniczej, której jednym z największych sku-

pisk na ziemiach polskich stała się Łódź wraz z okręgiem.

W wyniku znanych procesów, zachodzących w pierwszej połowie XIX w. w miastach okręgu łódzkiego, ukształtował się proletariatus różnorodnościowej struktury. Ważyło to na procesie kształtowania się jego świadomości klasowej i patriotycznej. Jeszcze w czasie powstania listopadowego w 1831 r. miast okręgu łódzkiego, a szczególnie mieszkających w nich elementów niemieckie odniosły się wro-

go do powstania, udzielając ratowniczo pomocy w jego stadium.

W okresie od powstania listopadowego do lat sześćdziesiątych XIX w. zaszyły dość istotne zmiany w strukturze społecznej i narodowościowej ludności miast tego okręgu wyrażające się skurczeniem się liczby i znaczenia samodzielnych majstrów i poważnym wzrostem szeregow proletariatus oraz zwiększeniem procentu ludności polskiej będącego wynikiem stałego jej dopływu i zachodzących wśród przybyszów z Prus, Saksonii, Śląska i Czech procesów repolonizacyjnych i polonizacyjnych. Wywarło to niewątpliwie wpływ na stosunek ludności tych miast do wydarzeń lat 1861-1864.

Na radykalizację postaw robotników przemysłu włókienniczego i chałupników w okręgu łódzkim wpłynął w poważnym stopniu kryzys surowcowy (tzw. kryzys bawełniany) 1861 r., który spowodował znaczne bezrobocie.

Już wiosną 1861 przez okręg łódzki przeszła fala demonstracji patriotycznych nawalających do podobnych manifestacji mających miejsce w Warszawie. Był w nich jednak pewien rys charakterystyczny odróżniający je od demonstracji warszawskich. Demonstracje warszawskie eksponowały hasła solidaryzmu narodowego jako warunku niezbędnego zdaniem ich organizatorów dla odzyskania niepodległości i przybierały formę demonstracji religijnych. Podobny charakter miały demonstracje patriotyczne i w innych miastach Królestwa Polskiego, Lublinie, Płocku i Kaliszu. W miastach okręgu łódzkiego element solidaryzmu narodowego z rzadka tylko dochodził do głosu. Głównym nurtem tych demonstracji była rozprawa ze służalczykami wobec caratu i przekupnymi urzędnikami administracji miejskiej. W okresie kwiecień-maj 1861 r. fala tych demonstracji spowodowała usunięcie lub nawet ucieczkę wielu zleniawionych urzędników administracji miejskiej a nawet państwowej. Władze zmuszone zostały presją społeczeństwa do odwołania niektórych urzędników magistratów w Dąbju, Płacku, Kutnie, Sieradzu, Łasku, Szadku, Rawie Mazowieckiej, Warcie i Zduńskiej Woli. Podobne próby presji społecznej podjęła ludność i innych miast okręgu. Nie zakończyły się one jednak powodzeniem.

W początkach września 1861 r. doszło w Łęczycy do wydarzenia o ogromnej wymowie. Patriotycznie nastroszone społeczeństwo tego miasta przepędziło chętnego się przejazdem zatrzymać w Łęczycy biskupa diece-

zji kujawsko-kaliskiej Michała Marszewskiego. Marszewski cieszył się złą sławą jako służalczy zaborcy. Bezpośrednim powodem przepędzającym miarę niechęci do niego był wydany przez niego surowy zakaz odbywania śpiewów patriotycznych we wszystkich kościołach jego diecezji.

W Płotkowie nie doszło do usunięcia urzędników, ale za to silniej niż w pozostałych miastach zaznaczyły się tam demonstracje polegające na znieważeniu przedstawicieli władz carskich. Szybciej też niż gdzie indziej ruch ten zaczął przybierać formy organizacyjne. Prym w tych działaniach wzięli nauczyciele, studenci i uczniowie gimnazjum płotkowskiego. Wśród organizatorów bardziej czynni byli nauczyciele Antoni Rogowski i Leon Kucharski, urzędnik magistratu Adolf Stępowski i ksiądz Józef Ludwiński. Kolportażem nielegalnych druków zajmował się Marceł Miniszewski telegrafista ze stacji Płotków, a Hipolit Szafer zbierał od społeczeństwa fundusze na cele powstania.

Formowanie się organizacji spiskowych w miastach okręgu łódzkiego miało miejsce w początkach 1861 r. a być może jeszcze w końcu 1860 r. Przebieg demonstracji z wiosny 1861 r. wskazuje na ich związek z ru-

chem warszawskim. Działalność organizatorska utworzonego przez czerwonych jesienią 1862 r. Komitetu Centralnego Narodowego przyczyniła się do nadania form organizacyjnych i ruchowi spiskowemu w okręgu łódzkim. Mimo ogromnego niedostatku środków udaje się historykom rekonstruować coraz

pełniejszy i wierniejszy obraz siatki konspiracji powstańczej w miastach okręgu łódzkiego i udziału proletariatus tego terenu w walkach o wolność.

Kierownicze funkcje naczelników miast pełnił w organizacji spiskowej przeważnie ludzie ze środowisk inteligentnych, ale już na niższych szczeblach jako setnicy i dziesiątkownicy występowały rzemieślnicy i robotnicy.

Powstańcami naczelnikami miast Łodzi były kolejno: od drugiej połowy 1862 r. przybyły z Warszawy urzędnik Komisji Skarbu Ignacy Radziejowski, w listopadzie tegoż roku w wyniku tarć wewnętrznych w łódzkiej organizacji spiskowej na stanowisko to został powołany decyzją Komitetu Centralnego Narodowego zamieszkały od dwóch lat w Łodzi fotograf Józef Zajęzdzowski. W końcu maja 1863 stanowisko to powierzone Janowi Cichockiemu referentowi, a po kilkunastu dniach powrócił na nie Zajęzdzowski. Powskazuje na ich związek z ru-

chem warszawskim. Działalność organizatorska utworzonego przez czerwonych jesienią 1862 r. Komitetu Centralnego Narodowego przyczyniła się do nadania form organizacyjnych i ruchowi spiskowemu w okręgu łódzkim. Mimo ogromnego niedostatku środków udaje się historykom rekonstruować coraz

pełniejszy i wierniejszy obraz siatki konspiracji powstańczej w miastach okręgu łódzkiego i udziału proletariatus tego terenu w walkach o wolność.

Kierownicze funkcje naczelników miast pełnił w organizacji spiskowej przeważnie ludzie ze środowisk inteligentnych, ale już na niższych szczeblach jako setnicy i dziesiątkownicy występowały rzemieślnicy i robotnicy.

Powstańcami naczelnikami miast Łodzi były kolejno: od drugiej połowy 1862 r. przybyły z Warszawy urzędnik Komisji Skarbu Ignacy Radziejowski, w listopadzie tegoż roku w wyniku tarć wewnętrznych w łódzkiej organizacji spiskowej na stanowisko to został powołany decyzją Komitetu Centralnego Narodowego zamieszkały od dwóch lat w Łodzi fotograf Józef Zajęzdzowski. W końcu maja 1863 stanowisko to powierzone Janowi Cichockiemu referentowi, a po kilkunastu dniach powrócił na nie Zajęzdzowski. Powskazuje na ich związek z ru-

Gdyby dziś mucha z bajki Jana Brzechwy leciała z Łodzi do Zgierza ulicą Zgierską, to mam nadzieję — nie zatrzymałaby się na strażackiej wieży. Bardziej zafrapowałby ją smukły budynek Instytutu Przemysłu Skórzanego. Zaraz po wojnie IPS miał trzy oddziały: w Łodzi, Poznaniu i Warszawie. Ale dziś już mało kto o tym pamięta, bo większość jego pracowników swoje losy związała z tą placówką naukową przemysłu lekiego właśnie w 1964 roku, kiedy otrzymała nowe pomieszczenia w Łodzi. Tamte czasy dobrze pamięta dyrektor IPS — Zdzisław Kaszuba. Nie chce jednak o nich mówić.

— Mówmy lepiej o współczesności.

— Zgodził się. Ale i mówienie o współczesności nie jest łatwe, bo obowiązują liczne zakazy. Uzasadnione i nieuzasadnione. Takie, które mają chronić naukowca przed penetracją nie tylko handlowych konkurentów i takich, które są przejawem wybujałej biurokracji. Są jednak ludzie, którzy wysiłek składają się na dorobek Instytutu Przemysłu Skórzanego. Są ludzie, którzy musieli pokonać wiele przeszkód, aby dziś z dumą nosić miano naukowca. I są ludzie, którzy mogli już tylko wybierać, aby zdobyć upragniony zawód.

— Pomówmy więc o ludziach.

— Zgodził się — powiedział dyrektor — i zaczął zastanawiać się, kto byłby najlepszym „reprezentantem”.

Mgr inż. Eugenja Nowak do pracy w Instytucie Przemysłu Skórzanego przyszedł w 1965 roku. Marzył o chemii, jednak pracę zawodową zaraz po wojnie zaczęła w Instytucie Celulozowo-Papierniczym w Łodzi. Została sekretarką i kierowniczką hali maszyn. Przed wojną ukończyła półroczną szkołę handlową i miała dobre przygotowanie do zawodu maszynistki i sekretarki, ale pragnęła studiować chemię. Nie było to łatwe. Najpierw trzeba było skończyć kurs zerowy przy Wieżowej Szkole Inżynierskiej w Łodzi. Potem dopiero można było zostać studentką tej uczelni. W Wieżowej Szkole Inżynierskiej nie było wydziału chemii. „Najbliższe” okazało się włókiennictwo. Skończyła więc Wydział Włókienniczy WSI w Łodzi i przeszła do pracy naukowej w tymże Instytucie Celulozowo-Papierniczym. Ma na swoim koncie dwie prace naukowe, ale po 15 latach — z powodów, o których woli nie mówić — przeszła do pracy w Instytucie Przemysłu Skórzanego. Miała wprawdzie nadzieję, że tutaj skorzysta z jej chemicznego przygotowania, ale stało się inaczej. Zaproponowano pracę przy organizowaniu branżowego ośrodka informacji. Zorganizowała dział dokumentacji, podjęła szkolenie pracowników zakładowych ośrodków informacji, opiekę nad nimi, kieruje działalnością wydawniczą IPS. Informuje przemysł o nowościach techniki światowej i gromadzi naukową dokumen-

tację dla potrzeb pracowników Instytutu Przemysłu Skórzanego. I tak już zostało.

— Nawet jestem zadowolona — mówi. — Bo gromadzenie naukowych informacji staje się coraz ciekawsze i potrzebniejsze. A człowiek zawsze pragnie być użytecznym.

Inna była droga do samodzielnej pracy naukowej dr Mariana Kosińskiego. Chemię studiował na Uniwersytecie Łódzkim, gdzie też pracował jako laborant, aby zarobić na utrzymanie. Aspiranturę kończył w Moskwie na Uniwersytecie im. Lomonosowa. Po powrocie do kraju pra-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TROJE

Z

INSTYTUTU

cował na Uniwersytecie Łódzkim. Przez cały czas działał w partii, był sekretarzem organizacji partyjnej.

— Dopiero po przejściu do pracy naukowej w przemyśle — mówi — zrozumiałem różnicę, jaka istnieje między badaniami prowadzonymi na wyższych uczelniach i w instytutach naukowych. Przede wszystkim badania na wyższych uczelniach kończą się publikacjami. Jeśli zdarzy się, że przemysł zainteresuje się nimi, to jest to przypadek bądź wynik podjętej od niedawna współpracy. W instytutach naukowych badania prowadzi się na zamówienie przemysłu, który czeka na nie i często nie cierpliwie się, że tak długo trwają. Są to też badania konkretne, w przeciwieństwie do badań podstawowych, prowadzonych przez pracowników wyższych uczelni. Nie chcę negować potrzeby takich badań, bo byłoby to nieporozumieniem, mówię tylko o swoich wrażeniach i odczuciach. Mnie bardziej odpowiadają badania konkretne, adresowane.

Dr Marian Kosiński kieruje zakładem badań chemicznych. Dwudziestu sześciu ludzi tego zakładu szuka nowych środków do wyprawiania skóry, a także tworzyw, które miałyby cechy skóry, ale były łatwe w produkcji i użyciu.

Jednym z konkretnych zadań, jakie postawiono przed tym zakładem było znalezienie tuszczów dla skór

juchtowych. Stosowanie ztych tuszczów powodowało, że na skórze pojawiały się jaśniejsze plamy, skóra łatwo gnęła i niszczała. Zakłady Chemiczne w Oświęcimiu produkowały chlorowane parafiny. Zespół dr Mariana Kosińskiego zainteresował się tymi parafinami i po długich badaniach adaptował je do potrzeb przemysłu garbarskiego. Od 3 lat chłowane parafiny stosują Mazurskie Zakłady Garbarskie w Braniewie, a także zainteresowały się nimi garbarnie w Kaliszu i Białymstoku.

— Nie wszystko kończy się tak pięknie — mówi dr Kosiński — bo np. podjęliśmy się opracowania zestawu tuszczów syntetycznych dla garbarstwa. Nawiązaliśmy współpracę z Instytutem Ciężkiej Syntezy Chemicznej w Białymstoku, który dał nam niezbędny składnik zwany „kepolen — w”. Wyprodukowaliśmy syntetyczne tuszczowe, a następnie kilka ton skóry przy użyciu tych tuszczów i jak dotąd wszystko się na tym skończyło. Bowiem przemysł chemiczny nie może dostarczyć niezbędnego „kepolenu — w”, a bez tego technologia wytwarzania syntetycznych tuszczów może spokojnie spoczywać w szafie.

Mgr inż. Wiesław Trzeźniowski reprezentuje typ naukowca młodego pokolenia, który nie musiał już pokonywać licznych trudności, aby dojść do wybranego zawodu. Dana mu była możliwość wyboru. W 1958 r. skończył Technikum Przemysłu Skórzanego w Radomiu.

— Miałem szczęście — wspomina — dostać się do klasy mechanicznej. Był to pierwszy rok istnienia tej klasy, a jej nauczyciele więcej czasu poświęcali remontom maszyn w fabryce niż nam.

— Gdzie więc tu szczęście? — A właśnie. Gdyby było inaczej byłbym dziś mechanikiem i nie zrobiłbym tak zwanej kariery naukowej. Z tamtej klasy mechanicznej dziś jednak nikt nie uprawia poznawczego wówczas zawodu. Zrozumiałem szybko, że nie umiem i poszedłem dokoła się dalej. Ja pojechałem do Stargardu Gdańskiego, gdzie w tamtejszym Technikum Przemysłu Skórzanego zrobiłem specjalizację technologa. Większość przedmiotów zaliczone mi na podstawie świadectwa z Radomia, inne uzupełniłem i po roku nauki przystąpiłem do matury.

Zaraz potem technik Wiesław Trzeźniowski podjął studia na Politechnice Warszawskiej. Nie na długo zresztą, bo dowiedział się, że w Welssefels w NRD istnieje Szkoła Inżynierska Obuwnictwa. Postarał się dostać do tej szkoły i tam uzyskał dyplom inżyniera technologii obuwnictwa.

— Był właśnie 1964 rok — wspomina. — Wróciłem do kraju i dowiedziałem się, że w Łodzi powstał Instytut Przemysłu Skórzanego, który po integracji szuka ludzi.

— Proste.

— Niezwykle, bo w 1964 roku poszedłem znów na studia.

Już inżynier Wiesław Trzeźniowski-

skł szybko zrozumiał, że postęp techniczny zależy w dużej mierze od warunków ekonomicznych i wstąpił na studia magisterskie z ekonomii dla inżynierów prowadzone na Uniwersytecie Łódzkim. Ale to nie jest jeszcze koniec naukowej kariery młodego magistra ekonomii i inżyniera technologii obuwnictwa. Właśnie przygotowuje się do studiów doktoranckich w Moskwie. Będzie pierwszym doktorem obuwnictwa w Polsce. Oczywiście, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

— Doszedłem do wniosku — mówi — że czas skonkretyzować się na jednym zagadnieniu, bo bez specjalizacji wiele zrobić nie można. Z moich obserwacji wynika, że wprowadzenie nowych technologii wiąże się ściśle ze zmianami organizacji produkcji. Bez tego nie ma i nie będzie oczekiwanych rezultatów. A że złożyło się tak, iż nasza pracownia przekształcono w pracownię organizacji produkcji, więc postanowiłem poświęcić się tym właśnie zagadnieniom.

Jednym z pierwszych zadań, które mianowanej pracowni było pomóc Zakładom Przemysłu Obuwniczego w Poznaniu które przeszły na produkcję krótkich serii wyborowego o-

buwła damskiego. Wymagało to zmiany technologii, ale i jednocześnie zmiany dotychczasowej organizacji pracy. Potwierdziła się w praktyce jedność technologii i organizacji. A że tak jest więc pracownia nie zrzuciła badań nad nowymi technologiami. Na konto sukcesów może wpisać opracowanie technologii wytwarzania lekkiego obuwia elastycznego dla kobiet. „Chelmek” dał już 100 tys. par tego obuwia i będzie je produkował dalej. Technologia zainteresowała się też „Radoskór”, ale ma jeszcze kłopoty z opóźnieniem nowej metody garbowania skór, bez której nie ma obuwia elastycznego.

Opuszczam IPS, dziękuję za dobrą kawę i rozmowę. Mam jednak uczucie, że wśród wielu jego pracowników pozostali ludzie, którzy mają ciekawe życiorysy, że mieli trudną drogę nie tyle do sławy co do pracy, którą lubią i wykonują z zamiłowaniem. Czyż jednak mogłem napisać o wszystkich? Usprawiedliwiam się tym retorycznym pytaniem świadom do przepelnionego tramwaju.



Fot. W. Paris

sierpniu 1863 r. do Galicji ośmi latnim znanym naczelnikiem Łódzi został farmaceuta Roman Stencel.

Pierwszym naczelnikiem cywilnym m. Zgierza był nauczyciel Tadeusz Gadomski, po nim apli kant sądowy Władysław Pomorski, i w końcu kancelista sądu wy Aleksander Kietliński. Farbiarz Henryk Penter, po nim zaś Julian Trojanowski syn sukiennika, był naczelnikami cywilnymi organizacji w Ozorkowie, szewc Jan Tobolski i po nim czeladnik Ferdynand Fiszler w Konstancynie, a ekspedycję pocztową Józef Klodecki w Piątku. W Łęczycy funkcję naczelnika miasta pełnił lekarz Józef Dworzaczek pełniący równocześnie funkcję naczelnika cywilnego powiatu Łęczyskiego. W Zdunskiej Woli na czele organizacji miejskiej stał najprawdopodobniej Edward Boerner pastor parafii ewangelicko-augsburskiej. Został on aresztowany w sierpniu 1863 r. pod zarzutem przynależności do składu miejscowych władz powstańczych, zbierania pieniędzy na cele powstania i wygłaszania ka zań nawołujących do poparcia powstania.

W Łodzi, jako największym ośrodkiem miejskim całego okręgu, jeszcze jesienią 1862 r. utworzono dla celów organizacji spiskowej trzy dzielnice. Staromiejską, Nowomiejską i Wólkę

powierzając kierowanie nimi setnikom. Setnik dzielnicy Nowomiejskiej, którym był majster tokarski Leon Tuszyński pełnił równocześnie obowiązki pomocnika naczelnika miasta, a później także powstańczego kwartaliera i naczelnika żandarmerii narodowej. Setnikiem dzielnicy Staromiejskiej był majster tkacki Ludwik Kozubski, a organizowanej najpóźniej dzielnicy Wólki, na której terenie przeważała ludność pochodzenia niemieckiego, buchalter z fabryki Moesa, Emanuel Rohnstock.

Radziejowski, Tuszyński, Kozubski a prawdopodobnie i Rohnstock byli zwolennikami i przyjaciółmi Józefa Sawickiego pierwszego organizatora wojskowego powiatu łęczyskiego, czło wieka czerwonych i to ich lewego skrzydła. Współdziałał z nimi wikariusz parafii łódzkiej ks. Józef Czajkowski. W wyniku zabiegów tej grupy znanej dobrze teren i miejscowe społeczeństwo szeregi spiskowców w krótkim czasie — jak pisze w pamiętniku niezycielny im — późniejszy naczelnik m. Łodzi Zajęczkowski — „z dziesiątków wzrosły w setki”.

Józef Zajęczkowski został mianowany przez KCN naczelnikiem miasta w wyniku niewyjaśnionych do końca tarć wewnętrznych istniejących w or-

ganizacji łódzkiej i dających o sobie znać do końca powstania. Jeden z głównych motywów tych tarć stanowił zapewne problem społeczny. Nie może tego ukryć w pamiętniku i Zajęczkowski. Tarca ta dawała o sobie znać w krytycznych momentach a w końcu maja i w początkach czerwca 1863 r. kiedy władzę i kierownictwo Rząd Narodowy przejęli czerwoni stali się przyczyną ustąpienia Zajęczkowskiego z pełno funkcji i objęcia jej na kilkanaście dni przez Jana Cichońskiego miejscowego rejsanta, byłego uczestnika spisku ks. Sclegiennego, cieszącego się w przeciwieństwie do Zajęczkowskiego zaufaniem czerwonych. Po upadku rządu majowego zwanego też „rządem czerwonych pracowników” i objęciu władzy przez rząd Majewskiego, Cichoński zmuszony był emigrować rze koma z powodu niebezpieczeństwa dekonspiracji. Funkcję na czele m. Łodzi ponownie objął J. Zajęczkowski.

Organizacje cywilne działające w miastach okręgu łódzkiego spełniały takie same funkcje jak podobne organizacje na terenie całego Królestwa Polskiego. Wierbowali ochotników do powstania, ekwipowały ich i ekspedycje do oddziałów. Zbierały podatki narodowe, strzegły swego środowiska przed zdrajcami, za-

bezpieczali informację dla oddziałów powstańczych. Łódzka organizacja spiskowa skierowała do powstania w czasie jego trwania kilkuset ochotników. Z niepełnych danych policyjnych udało się wydobyc nazwiska po nad 312 łódzian sądownych z współdziałaniem z powstaniem. W tej liczbie było 279 partyzantów i 41 osób bądź pełniących funkcje cywilne bądź też wspomagających powstanie innymi sposobami. Ze Zgierza poparli czynnie powstanie 107 osób, z tego z bronią w ręku walczyło 81. Z Ozorkowa 76 osób, z Pałanicy 70, z Rawy 28, ze Zdunskiej Woli 25 i z Łęczycy 20 osób.

Ogółem, według tych dalece niepełnych danych, w oddziałach partyzanckich, Sawickiego, Dworzaczka, Skowrońskiego, Oksińskiego, Luetticha, ks. Czajkowskiego, Taczanowskiego, Kopernickiego i Wólka działających w okręgu łódzkim lub na jego pograniczu, znalazło się 546 mieszkańców różnych miast okręgu łódzkiego. Ogółem zaś carski aparat represyjny dowiódł udziału w powstaniu z bronią w ręku lub też popierania powstania przez działalność w organizacji cywilnej lub innymi środkami 744 mieszkańcom miast okręgu łódzkiego. Zostali oni skazani na kary śmierci (11 osób), na katogę i zsyłkę (126

osób), zesłano do rot aresztanckich, wcielono do wojska i osadzono w więzieniu prawie 190 osób. Pozostałym wymierzono łagodniejsze kary. W liczbach wymienianych brak jest tych, którzy padli na placu boju, lub którym udało się zbiec za granicę Królestwa Polskiego. Poniżej poważnej części uczestników i sympatyków powstania nie udało się władzom carskim ujawnić można chyba bez większego błędu stwierdzić, że liczba popierających powstanie mieszkańców miast okręgu łódzkiego powinna być przynajmniej podwojona.

Wielu partyzantów rekrutujących się z miast okręgu łódzkiego pełniło w oddziałach, do których należeli odpowiedzialne funkcje. Antoni Lebelt farbiarz ze Zgierza był dziesiątnikiem w oddziale Dworzaczka, Anastazy Bittorf farbiarz z Łodzi był pół setnikiem a następnie instruktorem koszyków w oddziale R. Skowrońskiego, Józef Głbki robotnik ze Zgierza był dziesiątnikiem organizacji powstańczej w Zgierz. Majster szewski Ignacy Skowroński był dowódcą oddziału żandarmerii narodowej. Wacław Wacławski zandarmierii narodowej w Zgierz był Piotr Janowski czeladnik tkacki z Łodzi. Sylwester Papiernik majster puszkarSKI wyrabiał i naprawiał broń dla oddziału Sa-

wickiego i Dworzaczka początkowo w Zgierz a później w ba zę leśną pod Dobrą.

Udział ludności miast okręgu łódzkiego w powstaniu styczniowym należy ocenić wysoko tym bardziej, że Komitet Centralny Narodowy i Rząd Narodowy fałszywie oceniali nastroje ludności miast tego okręgu żywiącej o bawy, że powstanie nie znajdzie na tym terenie poparcia. Słusznie natomiast obawiano się ujawnienia konfliktów społecznych nie zdając sobie jednak sprawy z tego, że mogły one stanowić czynnik napędowy powstania. Wychodząc z tych błędnych ocen KCN w planach wojskowych nie uwzględniał tego obszaru. A należało mu poświęcić więcej uwagi, zarówno ze względu na dość duże już skupiska proletariatu jak i dużą jego podatność na hasła rewolucyjne, spowodowaną napięciami społecznymi. One to powodowały, że przez cały czas powstania czerwoni znajdowali na tym terenie, a szczególnie w Łodzi, żywe poparcie mimo opanowania kierownictwa przez białych.

Stosunek ludności miast okręgu łódzkiego do powstania styczniowego wyraźnie dowodził, jak poważne zmiany zaszły w sferze jej świadomości społecznej i narodowej w okresie dającym powstanie listopadowe od powstania styczniowego.

NAJPIERW PADAŁ DŁUGO ULEWNY DESZCZ



Rys. Leszek Woźnicki

Najtrudniej jest odnaleźć pierwsze zdanie. Właściwie: nie zdanie nawet, a słowo. To, które zawiera w sobie początek. Nigdy nie wiem, co jest po czątkiem, co nim być powinno. Mo że po prostu nie pamiętam? Nie potrafię wyłuskać spośród dziesiątek ków, setek, tysięcy innych początków? To jedno słowo, niechaj będzie potoczne, banalne, ale żeby było moje — własne. Tylko moje. Niezwykle więcej. Wtedy została bym wyzwolona: prawdziwa. Szukam go wciąż, tego jednego, jedyne słowa, wymawiając wiele, w wiele wierząc, opierając na nich ciagle, nieodmiennie — fałszywe, wielokondygnacyjne budowle. Dopiero, gdy się wala, pojmuję, że nie o to słowo chodziło. Czasem wydaje mi się, że to, które poznałam, jest właśnie tym, którego szukam. Przyjmuję je za pewnik, aksjomat, wyznacznik wiary, staje się moją biblią i moim koranem, słyszałam je przecież niedawno, słyszałam je w gruncie rzeczy bardzo, bardzo dawno, zawsze musiałam słyszeć, znać od początków. Ile straciłam, milcząc przez lata, lecz teraz wypowieć, wykrzyknąć — i już mam, trzymam w ustach, w oddechu, w dłońach solecionych, dłońach rozwartych nie upuszczać, nie oddam, ochronię, zamknę w łez: zamienię w życie.

Cóż za pycha, cóż za zła hardość, pewność siebie: dlaczego umyka, zanim stało się dźwiękiem? Zwykłym, jeszcze nie do końca skończonym, uformowanym, wywołanym, wiedzanym. Zanim się narodziło już umiera? Zanim je posłyszysz już odczujesz? Zanim zobaczysz już oślepie? Zanim zdążyłem przytrzymać, uderzyło w twarz kłamstwem? Falszem? Wstydem? Upokorzeniem?

Myszę: jeżeli nie potrafię go mieć, oznacza to, że i mnie nie ma. Jestem całkowicie zależna od tego słowa. Muszę wiedzieć: dla czego jestem? Odmienić siebie przez przypadek. Imię? Nazwisko? Data urodzenia? Adres? Dokładny! — ulica, numer domu, numer mieszkania? Wiem, jak mam na imię, ale tyle razy nadużywano go, że przestało być moim. Mężczyźni uwielbiają moje imię, może na je tak cudownie prosto wymawiać, kładź między obiecujące wargi bez najmniejszego wysiłku, ściszać, wyszeptywać, nadawać mu sens istotny, rzeczywisty: konkretny i jedyny, zabarwiać uczuciem, nadzieją, spełnieniem, cóż za imię, nie potrzeba róż, zbyt czyste bukietki nachalnie pachnących fiołków, nie wymaga kłopotliwych zapewnień, obchodził się bez nudnych, rozprasających przymiotników, wystarczy je powie-

dzieć, bo to imię samo w sobie okrągłe, potoczne, wysyczone ciepłem, gotowe, spreparowane; odrzucam je daleko jak lekką piłeczkę, wyzywam się, każdy, kto się chce, może je wziąć, ściszać, modułowac najadać się nim do syta, do przesytu, do niestrawności; ściągani są bez imienia, nazwiska, adresu, pamiętają jedynie te miejsc na ziemi, w których mylili się sądząc, że właśnie tam są bez piecnie ukryci. Jak w lesie, gdzie parę razy do roku odbywają się polowania z nagonką na zwierzyne łowne, podlegające prawom odstrzału, aby jej było tylko tyle, ile potrzeba, nie więcej; jak w lesie, bynajmniej nie dzikim, ani wybujałym, zamienionym w gaszczę, lecz przestrzennym prawie, podzielonym na kwadraty i przez sieki, uciekam, kluczę, myślę tropy, dopadam mysiej dziurki albo dziupli w spróchniałym drzewie i gdy zdaje mi się, że ta moja dziupla zapewni mi schronienie, ocali, przysięgam, zasłoni, oszuka — są, słyszę ich: was; im nędzniejszy łup, bezbronniejsza ofiara, tym bardziej stają się wściekli, zawzięci, nienależni. Kiedyś, nim jeszcze zdałam sobie sprawę z tego, że jestem poddana prawom odstrzału, prosiłam: Nie strzelajcie, pozwólcie żyć. Bo przecież chciałam żyć. Wiele czasu minęło, zanim podjęłam próbę ucieczki, zanim nauczyłam się, a raczej nauczono mnie, że nie należy do grupy zwycięskich myśliwych. Ale odtąd, odkąd rozpoczęłam uciekać, tym bardziej potrzebuję mojego własnego słowa, które mogłoby mnie określić, a może nawet ocalić. Za każdym razem, kiedy staram się w jakieś uwierzyć, a póź niej nie umiem, nie potrafię, sprawdzić i zamiast oczekiwanej prawdy odkrywam, wyjmuję, wybebeszam jak wnętrzości ze śnieg tej ryby cuchnącej i nieświeżej, rozkładającej się w palcach, ociekającej zduszonymi ekstremami — wtedy odnoszę wrażenie, że wiem, już niestety, wszystko. I że nie ma potrzeby dłużej chować się ani szukać dziupli. Takie poznanie jest jak ukaszenie jadowitej żmii: śmiertelne. Toteż mówię: „Żywi nie wiedzą nic. Pouczcie mnie, martwi, jak umierać bez strachu”. Ale mówię nie swoimi słowami, chociaż są to jedne słowa, które byłabym zdolna przyjąć za własne. Jednak nie mogę ich użyć, dla kogo innego oznaczały by go prawdę. Muszę dojść do własnej, muszę ją mieć, koniecznie, ponieważ zmęczyło mnie bezustanne kluczenie i chciałam odpocząć.

Będąc dzieckiem lepiłam, jak wszystkie zresztą dzieci, zamki z czarnego błota. Cudowna zabawa:

najpierw długo padał deszcz. Przygarniałam się do szyby, rozmazywanej strugami wody. Niebo nad lasem było szare, jakby rozproszone. Gęste i maziste opuszczało się tak nisko, że dotykało koron drzew. A czasami, widziałam wyraźnie, kładło się, opierając o dach lasu płaczące, pochmurne czoło. Pragnęłam wtedy go dotknąć i raz nieomal mi się to udało. Wybiegłam z domu, nim ktośkolwiek spostrzegł i zdążył przeszkodzić, bosymi piętami rozpryskując w szalonym pośpiechu kałużę, zostawiając wkleśte, wolno za bliźniące się ślady wśród mokrej i gietkiej trawy. Z sercem bijącym boleśnie — tak silnie było dotknięcie wiszącego nisko nieba. Musiałam je dostać, na chwilę, na jedną, na krótką, potrzymać w palcach, poczuć jego gęstość, grubość, tak myślałam, błędną przez łakę, a jeszcze wcześniej przyglądając się zza szyby: jak opada pu-

szyście podobne do olbrzymiego skrzydła albo wachlarza. Matka trzymała na półce pod bielizną w pożółkłym papierze wachlarz ze strusich piór, kiedyś ośniewający białych, teraz poszarzałych od rzu, lubiłam się nimi bawić — zasłaniałam oczy, twarz; pióra nie straciły swojej delikatności i poruszone ciepłym oddechem zaczęły żyć, drząc lekko i wtedy smutniałam, ponieważ nigdy nie widziałam strusia, a gdy pytałam matki, jak wygląda, wzruszała tylko ramionami: ona też nie wiedziała, chociaż miała wachlarz z jego piór, nie potrafiła nawet do kładnie ani przekonywająco określić, to bardzo duży ptak, mówiła, zabierając mi wachlarz, bała się, że jej zniszczy; jak duży może być ptak? jak stół? studnia? drzewo? niebo? — stąd może powstało pragnienie potrzymania nieba, sprawdzenia, czy jest ono równie miękkie, drzące, ciepłe jak strusie pióra? Biegłam, wstrzymując oddech, obawiając się spojrzeć w górę błagając deszcz, aby padał jak największy, siekł mocno, uderzał silnie, nie ustawał, jedynie wówczas, gdy lał strumieniami niebo schodziło nad las; dobiegłam do pierwszych drzew, narażając sukienkę na podarcie, nie zważając, że kępuje mi ruchy, przeszkadza, jest wstrętna, bo śliska, objęłam kolanami pień drzewa, schwyciłam się konaru, podciągnęłam na ręce i jak wiewiórka albo zwykły łobuz, a łaziłam ku rozpaczliwej szybie i sprawnej niż którykolwiek z moich braci; i coraz wyżej, wyżej, nie czując skaleczeń, zadrapań, wspierałam się na sam wierzchołek dębu, podobnego do zwierzchniego bukietu i — podniosłam twarz, wyciągnęłam rękę, pełną dziecinnej szczęścia: lecz tylko deszcz spadał wielkimi kroplami na otwartą dłoń, a deszcz już przecież znalazł. Jeszcze rozglądałam się zdumiona, gdzie się ono podziało, to moje niebo, potem dopiero zobaczyłam — jakże jest daleko, to za szyby splukiwanej ulewa wydawało mi się, że jest blisko, a ponieważ byłam dzieckiem nagle bardzo zmęczonym, zawiedzionym, rozczarowanym, więc rozplakałam się głośno. I to były te pierwsze łzy, które pamiętam i pierwsze zmęczenie, którego doznałam.

Zsunęłam się z drzewa, spostrzegłam, że suknie mam w strzępach, nogi i ręce podrapane do krwi, wracałam wolno, brnąc przez trawę, nagle czując ich ostrość, nie cieszył mnie nawet deszcz, przestałam go lubić, chociaż tyle razy wybiegałam do niego jak po radość i schowana wśród kłujących krzaków agrestu, przed matką,

która wychodziła mnie szukać ubrana w sztywny piaszcz gumowy, wysokie do kolan kalosze, chrzęszczące na żwirowanej ścieżce ogrodu tak głośno i tak zgrzytliwie, że zdradzały jej kroki pomimo rytmicznego poszumu, miałam zawsze czas, aby się przed nimi wycofać, schować, przyspaść w grzędach gladioli albo w kępach przekwitłego bzu, gdzie deszcz spadał jakby ostrożnie poprzez liście, ale pachniał może nawet pięknie, przynosząc ze sobą, nieco młdą woń majowego bzu lila, już zwietrzała, lecz widocznie wciąż trwająca na gałęziach i liściach, i podstawałam twarz zamykałam oczy, czułam deszcz wszędzie: na oczach, włosach, policzkach, szyi, zlizywałam go z warg, a miał smak czysty, prawdziwy, bo był jedynie deszczem na moich ustach, niczym więcej: deszczem pachnącym bzem lila, i słuchałam, jak szeleści, oczyszcza wszystko dokoła, a ja jestem w nim i z niego go; wreszcie spokojnie, potem już te ostatnie krople strząśnięte nie ostrożnym ruchem syją się lśniące w słońcu i same go pełne wsiają w ziemię, schną na pojedynczych żdźbłach traw, coraz mniejsze i mniejsze, bardziej przezroczyście; ulotne. A gdy wrócę do domu, matka zamiast krzyknąć, wyjmię z szafy gruby, szorstki ręcznik, ściągnie ze mnie bieliznę, będzie nacierała długo kolistymi ruchami masując plecy, brzuch, uda; stroskana, że mogłabym się przeziębnić, niczego nie rozumiejąca poza swoją troską, posadzi mnie, owinięta w wełniany koc na drewnianym zydłu za stołem przy krytym haftowaną serwetą, postawi kubek parującego mleka, gęstego jak śmietana, a to wszystko: i matka, którą oszukałam, chowając się przed jej chrzęszczącymi krokami do bżów, i ręcznik, i zdel, i stół, i koc, i kubek i mleko będzie pachniało deszczem i miało smak deszczu, nigdy leż — ale odtąd, ponieważ omamili mnie rzekomą bliskością nieba, odtąd stał się słony, gorzkawy, jak rozgryziony w skorupce migdał albo ziarno śliwki wyłuskane z jej pestki, i nawet ta cudowna zabawa, którą można było cieszyć się wtedy, jeżeli przedtem długo padał ulewny deszcz, rozmiękczając drogę przed domem w lepkie błoto: wchodziłam w największe, mięsliwym długim, ciepłiwie aż stawało się doskonałe trzymającym bułdecem pod wielkie zamki, wielobasztowe pałace z wysokimi wieżami, które przystały w indycze albo kogucie pióra zamiast zdobycznych chorągwi, czy kolorowe szkiełka z potluczonych butelek — skończyła się bezpowrotnie, na zawsze i chociaż znów bardzo chciałam zbudować wysoki zamek, nawet przybrałam jego stromą basztę w lapiasy, szmaragdy i topazy, to — nim wysechł i sam rozypał się w słońcu — zniszczyłam go, rozdeptałam, raniąc sobie bosc nogi o zielone szkiełka, żadne lapiasy, żadne szmaragdy, żadne topazy; zwykle odłamki ordynarnego, grubego szkła butelkowego, które później matka wyciągała pincetą z pięt, starając się czynić to bezboleśnie.

Aby pamiętać, musi boleć. Dlatego pamięć tych, którzy ścigają, jest tak mizerna. Matka pragnęła oszczędzić mi bólu i nigdy nie odważyła się nazwać żadnej rzeczy po imieniu, nawet to szkło z moich stóp wyciągała ostrożnie, podnosząc twarz z żwawymi współczuciem oczami: „Bardzo boli? Jeszcze trochę...” Tyle troski, uczucia, pocieszenia — na przelno. Wszystko zbyt cenne i — przekleństwo. Było by lepiej, gdyby celowo zadawała mi ból ucząc, że nie nie dzieje się bez niego, że stanowi on ostatnią cenę każdego rachunku za miłość, za rozkosz, zachwyty, radość, przesyconie, nadzieje, poznanie. Cokolwiek się staje, zawsze przyjdzie. Jakikolwiek początek, on jest jego zakończeniem. Dopóki nie i szlifuje, precyzyjnie jak sztukmistrz, jak artysta, jak twórca. Więc z tych wszystkich początków, z których się zaczynałam, ale z których żaden mnie nie określił ani nie wyzwolił — posiadam jego sumę jako zadośćuczynienie i ośmielam się popełnić świętokradztwo, grzeszysy występną pychę, pokorną miłością, ponieważ myślę, że wiem, jak umierać bez strachu. To bardzo proste. O wiele trudniej jest żyć bez strachu.

(Fragment z powieści przygotowywanej dla „Czytelnika” pt. „Rzucić te czarownicę na stos”)

ANDRZEJ GRUN

MISTERIUM OSTATNIE

Dzwoneczkami perłą światelkami suną
kopytkami tupią w słomianą podłogę
zaświergotały ptactwem wymłócone kłosy

A jeden taki z cylindra wyciągał tęczę
— wciąż nowe...

Pozłacane kopytka dzwoneczki z tektury
ptaki w drewnie toczone farbą malowane
czerwoniuśkie żółte niebieskie zielone

A jeden taki z cylindra wyciągał tęczę
— wciąż nowe i prawie prawdziwe...

Pogubili kopytka poźłota z nich spadła
teraz oczami świecą — po diabła to było
ptaki poumieraly panu bogu dały
drewniane dusze w prezencie

niech tam ma staruszek co mu się przecież należy
słusznie jak najbardziej

A jeden taki z cylindra wyciągał tęczę
— wciąż nowe i prawie prawdziwe najprawdziwsze

Odszedł ostatni
pewnie to był czarodziej
może poeta
albo jeszcze coś więcej
albo...

Przeszłość i terażniejszość

KAZACHSKIE WĄTKI LITERATURY POLSKIEJ

Oto dwie książki: pierwsza nosi tytuł „Międzynarodowe związki literatury kazachskiej” i ukazała się w dwóch wersjach językowych, kazachskiej i rosyjskiej, nakładem Instytutu Literatury i Sztuki Akademii Nauk Kazachskiej SSR w Alma-Ata w 1970 roku. Wśród 13 rozpraw składających się na ten tom natrafiam na pracę Sz. Satpajewej „Zachodnioeuropejski uczeni i pisarze XIX wieku o Kazachstanie”, która zwraca uwagę polskiego czytelnika licznymi zawartymi w niej polonicami. Druga książka, którą biorę do ręki, ukazała się w Alma-Ata w 1966 roku nakładem wydawnictwa „Kazachstan” i w całości stanowi polonikum. Przynosi rosyjskie tłumaczenie „Żywota

Adolfa Januszkiewicza i jego Listów ze stepów kirgiskich” — jak brzmi tytuł polskiego oryginału — pod nowym tytułem, mianowicie „Dzienników i listów z podróży po stepach kazachskich”. Przekładu i opracowania dokonała F. Stieklowa, która jest także autorem otwierającej ten tom, blisko czterdziestostronicowej rozprawy pt. „Adolf Januszkiewicz i jego książka”. Gdy zobaczyłem oba te wydawnictwa na biurku prof. W. Jewsiwickiego, w pierwszej chwili byłem zaskoczony. O stosunkach polsko-kazachskich w przeszłości wiedziałem tyle co nic; to sprawy, o które otarli się pewnie jacyś syberyjscy wygnańcy sprzed stulecia i nic więcej. Przed jedenasty laty przeglądnąłem

w Paryżu szereg papierów Januszkiewicza, ale nawet nie pamiętam czy i co w nich było o Adolfie — zażo walem się wówczas losami jego głośnego brata Eustachego. O Adolfie z Mickiewiczowskich „Dziadów” pomyślał jednak wszechdobry Janusz Odrowąż-Pieniążek i jeszcze w 1956 roku opublikował o nim osobną rozprawkę.

Zawędrowała ona aż do Alma-Ata i dostała się do rąk niezującej już dziś E. F. Simonowej, docenta Uniwersytetu Kazachskiego i posłużyła jej przy napisaniu krótkiego artykułku pt. „Polski poeta-rewolucjonista o Kazachstanie”, który ukazał się w piśmie „Sowietski Kazachstan” w 1958 roku. Rzecz dotyczyła zresztą głównie ucały nie Januszkiewicza, ale przede wszystkim Gustawa Zielińskiego. Niebawem nastąpiło prawdziwe odkrycie pism obu Polaków w piśmiennictwie kazachskim.

Tekst „Kirgiza” Zielińskiego pojawił się po raz pierwszy na ziemi kazachskiej już dawno, bowiem autor ofiarował egzemplarz pierwszego wydania z 1842 roku współwyznawcy Januszkiewiczowi, a ten zabrał go w podróż po Kazachstanie. Poemat w tłumaczeniu rosyjskim G. D. Griebieńszczikowa ukazał się w 1910 roku w Tomsku i ten oto przekład stał się teraz podstawą do dokonania przez A. Achmetowa tłumaczenia na język kazachski, które wraz z przekładem „Stepu” dokonanym z polskiego oryginału, wedle wydania z 1956 roku przez J. I. Czernikowa, ukazało się w 1964 roku w edycji książkowej w Alma-Ata. W 1963 roku rozpoczęła się literatura nad literackimi związkami polsko-kazachskimi docent F. Stieklowa, której udziałem stało się odkrycie dla Kazachstanu Adolfa Januszkiewicza. Nawiazła ona kontakty z polskimi uczonymi, odnalazła w Leningradzie tekst drugiego wydania książki Januszkiewicza, która okazała się niezmiernie cennym źródłem do historii kazachskiej. Badacz literatury jął się teraz pracy historyka i F. Stieklowa zagłębiła się w akta omskiej policji, pod której nadzorem był polski zesłaniec. Postacią Januszkiewicza i innymi polskimi wygnańcami zaintereso-

wała się szerzej prasa kazachska (1965). Badania Stieklowej przyniosły niespodziewane rezultaty: Centralne Państwowe Archiwum Kazachstanu okazało się kopalnią informacji o Januszkiewiczu, które pozwoliły na sprawdzenie wiarygodności jego relacji a niekiedy na jej uzupełnienie. Badaczka odbyła podróż szlakiem polskiego zesłańca, poszukiwała śladów jego wędrówek, nauczyła się języka polskiego i jąła się tłumaczenia dzieła Polaka.

„Jego książka — pisze we wstępie do opublikowanego w 1966 roku przekładu — to przeszłość kazachskich gór i stepów, obraz tego, co było 120 lat temu, namalowany ręką przyjaciela. I jak wszystkim z przeszłości narodu, który pragnie rozwijać się i zdążyć na drogę”. Dzieło polskiego zesłańca dostało się do rąk kazachskich uczonych i obudziło szerokie zainteresowanie. Sz. Satpajewa we wspomnianym artykule do- rzuca do badań poprzedników własną cegiełkę — okazuje się, że na kartach książki Januszkiewicza znajdują się cenne informacje o wy-

bitnej postaci feudalnego Kazachstanu — Kunanbaju, ojcu wielkiego kazachskiego poety i myśliciela Abaja Kunanbajewa, podobnie jak i cenne dane o kazachskich poetach — improwizatorach, takich jak m. in. Orynbał Kertagynow, oraz o poecie — kompozytorze Tattimbeta (o czym już w 1967 roku pisał po kazachsku A. Satpajew) i wiele innych. Do wiązki kazachskich poloników dorzuca Sz. Satpajewa jeszcze informację o Bronistawie Zaleskim i jego kazachskim albumie, wydanym w 1865 roku, który zawiera cenne komentarze i objaśnienia oraz interesujące pod względem literackim opowieści kazachskie.

Wokół tych i innych spraw narosła już w Kazachskiej SSR obfita literatura — nie stety zupełnie u nas nie znana. A przecież nie może być dla nas obojętne to, że w tym dalekim kraju działa spora już grupa bezinteresownych, jakże życzliwych nam badaczy, którzy odkrywają w naszym piśmiennictwie niedostępne dotąd dla nas wartości.

■ JÓZEF GRZELAK

MACIEJ Józef Kononowicz jeszcze przed kilkoma laty znany był czytelnikom głównie jako autor lirycznych refleksyjnych. Ostatnie dziesięciolecie okazało się szczególnie płodne dla tego pisarza; swoje umiejętności literackie przeniósł z dużym powodzeniem na inne gatunki, trzy lata temu zbiorkiem satyr „Za ułok fraszki” dał się poznać jako niezły fraszkopis, nie tak dawno ujawnił z kolei swój talent translatorski przekładami z literatury białoruskiej, zapowiedzi wydawnicze do noszą, że w najbliższym czasie ukazać się ma zbiór jego opowiadań o tematyce okupacyjnej. Przed kilkoma tygodniami Kononowicz książką „Prawą ręką za lewe ucho”, wydaną nakładem łódzkiej oficyny, przypominał, że w latach tuż powojennych parzył się satyryczną felietonistyką.

„Wszystko to było pisane z przy- mrużeniem oka i chwytaniem lewego ucha prawą ręką. Więcej tu zamierzonej przesady, niż wyważonego obiektywizmu. Ale amator-zbiorca staroci, tropiciel gminnych obyczajów a może socjolog, czy dziennikarz — wygrzebie z tej garstki felietonów kilka unikalnych egzemplarzy, a niejednego czytelnik w średnim wieku ożywi pamięć okresu młodości

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

FELIETONY Z ŻYCIA POWOJENNEJ ŁÓDZI

swojej i tej drugiej młodości swego miasta, niejednego staruszek wróci wspomnieniem do „dawnych, dobrych czasów”. Tak objaśnia cele tej publikacji sam jej autor. Książka ta ma więc spełniać specyficzne zadanie: z jednej strony jest ona wycinkowym przypomnieniem życia obyczajowego Łodzi powojennej, z drugiej natomiast stanowi dla badacza zajmującego się dziejami felietonistyki dość istotny materiał źródłowy. Wydaje się, że zarówno cel pierwszy jak i drugi zbiór ten w zasadzie osiąga mimo wielu niedociągnięć, które raczej były wynikiem atmosfery ówczesnego życia literackiego i jego mód oraz stylów, aniżeli prywatnych predyspozycji Kononowicza.

Felietony te powstały w latach

1946—1952. Tematyka oscylują wokół ówczesnych spraw socjalnych, obyczajowych i in., pisarz na bieżąco wychwytywał bolączki swego miasta, występując raz w roli moralizatora (ta rola jest najsłabiej grana), innym razem jako moralista czy też po prostu felietonista o zacięciu satyrycznym. Nie brak w tym wszystkim ironii i jednocześnie, co wcale ironicznemu tonowi nie zaprzecza, troski o sprawy bytowe i nie tylko, bo również o treści moralne. Często ze śródmięścia przerzuca się autor na peryferie; kilkoma charakterystycznymi dla opisywanego środowiska zwrotami językowymi kreśli specyficzny urok łódzkiego przedmieścia. Niejednokrotnie sięga Kononowicz do genealogii społecznej Łodzi,

dotrapując się powiązań między życiem i obyczajami robotników łódzkich, a ich wiejskimi protoplastami. Zawsze przy tym bazuje na materiale konkretnym, wziętym bezpośrednio z życia, z ulicy czy łódzkiego podwórka, a kreowanym w satyryczny sposób w celu ośmieszenia ludzkich słabostek i naiwności.

Trudno jest tropić miejsca, momenty, w których kończy się realizm, a zaczyna się grotesk, humor, ironia. Granice są tu niezwykle płynne; a może realność powojenna miała w sobie dużo autentycznej groteskowości, zwłaszcza gdy na ówczesne lata patrzymy z kilkulatniej perspektywy? Obyczaje łódzian w ujęciu Kononowicza mają przede wszystkim literacki charakter. Równocześnieoczesne miejsce w tych felietonach zajmuje paradoksalny, wyjątkowo bar- dziej z realnych sytuacji, aniżeli ze sposobu myślenia autora. Lata, o których pisze Kononowicz, dla współ- młodego czytelnika kryją w sobie wiele egzotycznego kolorytu. Szczególnie na uwagę zasługują te fragmenty, w których pisarz umiejęt- nie wydobyla elementy folkloru proletariackiego, będzie więc to pod- stuchany żargon dorożkarski, robotni- ków, spekulantów, będą również wy- siadywania robotniczych rodzin na

progach domków w niedzielne popo- ludnia. Atmosfera tamtych lat w miarę oddalania się od nich wydaje się dla nas coraz bardziej historią mocno odrealnioną niż faktem spraw- dzalnym. Ongiś istotne problemy, nurtujące szerokie kręgi społeczeń- stwa w obecnym czasie wydają się nam niemal anachroniczne i bajecz- ne. Po prostu sprostało owym bolączkom i w miejsce ich wyrosły nowe problemy, często jeszcze bar- dziej skomplikowane i bardziej spo- łecznie zdeterminowane.

Wydanie książki „Prawą ręką za lewe ucho” spotka się zapewne z żywym przyjęciem nie tylko łódzkie go czytelnika, ale każdego, który powtórnie pragnie przeżyć specyficz- ną aurę lat powojennych. W tych drobnych humoreskach, satyrycz- nych felietonach znajduje też czytel- nik szczyptę liryzmu, bez którego nie sposób patrzeć na czas miniony. Jest to książka, która niesie swoją zawartością treściową w swoisty spo- sób podaną lekcję patriotyzmu i tego, w jak trudnych warunkach roz- dziło się życie w nowej Łodzi, w nowej Polsce.

Oprac. graficzne Marek Kononowicz, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, s. 155.

ADAM OCHOCKI

SPÓŁKA z O.O.

Litery na szyldzie miały tak sam krój jak w tytule gazety: Republika. Były czerwone na białym tle, co jeszcze bardziej upodabniało je do oryginału. Szyld wisiał nad bramą domu przy ul. Piotrkowskiej 49, gdzie znajdowała się administracja i wszystkie redakcje wydawnictwa. Wisiał tam szesnaście lat z hakiem, i hak zżarł rdza, i blacha nie oparła się próbie czasu. Czerwień straciła na intensywność, tło stało się szaro-bure. Ale wśród właścicieli „Republiki”, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, nie chcieli słyszeć o wymianie szyldu. Wierzyli, że to właśnie ów szyld od pierwszej chwili przynosił im szczęście. Gdy go zdejmą, karta się od nich odwróci. Jak widać i z talizmanami bywało rozmaito: jedni zawieszali je na szy- lach, inni na murze.

Po heroicznym oporze wydaw- cy poszli na jedno tylko ustę- pstwo: poddali szyld zabiegom

kosmetycznym — usunęli brud, dodali trochę szkarlatu i bieli, ale z miejsca nie pozwolili go ruszyć. Dopiero na początku września 1939 roku stary, wysłużony szyld „Republiki” po raz pierwszy i jedyny opuścił swój hak: zdjął go hitlerow- cy.

Początki były niewątpliwie skromne. Gdy spółka z o. o. wydawała tylko poranną „Republikę”, ograniczono się do parterowego lokalu frontowego, tego samego, gdzie dzisiaj jest sklep konfekcyjny MHD. Za wystawą po lewej stronie znajdowała się administracja, za drugą, po prawej, stały dwa linołoty, widoczne od ulicy. Redakcja miała dwupokojowe pomieszkanie w głębi lokalu, na zapleczu dzisiejszego sklepu.

Jeden pokój zajmowali dzien- nikarze pracujący od narodzin „Republiki”: Henryk Passier- man, Wacław Polecki i mój brat Lutek. Kuzyn Stefan, któ- ry przejął dział sportowy po

poruczniku Romanu, na razie przynosił materiał z domu. W redakcji nie było już wolnego kąta.

W drugim pokoju urzędowali na przemian obaj redaktorzy na czele Oltaszewski i Polak oraz Cynamon. Gdy wyskakiwała ja- kaś ważna sprawa, wspólnicy in corpore schodzili się w „Zie- miańskiej” lub „Grand-Cafe”. Niebawem zresztą narady wy- dawców odbywały się w bardziej operatywny sposób. Pięcioro- sobo we grono zmieszano się o Cy- namona i Kirkięna. Pierwszy umarł w Czechosłowacji na sto- le operacyjnym, a Kirkięna i rodzinę po Cynamonie spłaco- no. I tak do samej wojny na placu boju pozostała tylko wiel- ka trójka: Poznański, Oltaszew- ski i Polak.

Często przechodziłem koło sie- dziby „Republiki”. Moja trasa do szkoły a także na tradycyj- ny „deptak” wiodła tamtędy. Przez szybę widziałem pania Bruzdowa, przyjmującą ogłosze- nia przy okienku, a w głębi uwi- dzał się dziarski, ruchliwy jak mrówka, kierownik adminis- tracji Konstanty Losjew, były na- uczyciel (bodaj historii) w gim- nazjum im. Kopernika. Ale bar- dziej frapował mnie widok li- notypistów, przebiegających zrecznie palcami po klawiaturze maszyny. I jeżeli myślałem wówczas, że i ja kiedyś śladem brata i kuzyna będę pracował w „Republice”, to karierę swą wy- obrażałem sobie na krześle lino- typisty. Taki zecer to ma fajnie!

Może składać co tylko zechce, choćby poemat Fredry o nie- szczęśliwej księżniczce, który ja musiałem ręcznie przepisywać! Do brata przychodziłem przy- najmniej raz w tygodniu, za- wazył w soboty, kiedy to na ekra- ny kin wchodziły nowe filmy. Nie musiałem mówić co mnie sprowadza. Na mój widok Lu- tek wchodził zaraz do drugiego pokoju i prosił redaktora Pola- ka o passe-partout. To była wspaniała książeczka! Bez kupo- ników, talonów, wystarczyło ty- lko mignąć nią przed oczyma bietera, ażeby wraz ze swą sympatią znaleźć się w łóż- lub na pierwszym miejscu, w specjalnie zarezerwowanym rzę- dzie.

Brat zaprowadził mnie kilka- razy na Piotrkowską 15. Tam w poprzecznej oficynie na par- terze kręciła się maszyna rota- cyjna, drukująca „Republikę” a później i „Express”. Nie na- długo jednak zagrażała mi miej- sca: nakład popołudniówki rósł w takim tempie, że wydawcy musieli sprowadzić nowoczesną szarą, wydajniejszą maszynę i przenieść rotację na Piotrkow- ską 64. Stała w parterowym budynku po prawej stronie, tuż przy Sienkiewicza i tam, do sa- mej wojny, drukowały się wszy- stkie tytuły wydawnictwa „Re- publika”.

W latach dwudziestych nie by- ło ich wiele. Poza „Republiką” i „Expressem” oraz jednodniów- kami, wydawanymi przeważnie na Nowy Rok, pamiętam jeszcze

„Czerwonego Kosa”, który „gwi- zdal co niedziela i wygidywał wszystko”. Na czterech stron- cach zamieszczał swe karykatury Stanisław Dobrzyński, ser- deczny przyjaciel Oltaszewskie- go i Polaka, zwany przez nich „Kosem” — nie wiem czy z po- wodu owego tygodnika humor- ystycznego, czy też dla jego oka- zalego nosa. Rysował tam row- nież znakomity Artur Szyk, któ- ry zrobił później oszałamiającą karierę światową, Wacław Dro- zdowski. Bardziej niż rysunki in- teresowały mnie teksty — felie- tony i wiersze Bolskiego oraz mego brata, dowcipy i rymowa- ne hasła reklamowe. Ale „Czer- wony Kos” niedługo gwizdał — zachrył jakoś szybko i prze- stał wychodzić.

Ten okres, połowę lat dwudzie- stych, gdy chodziłem jeszcze do szkoły, pamiętam słabiej. Jedno- wszakże, co utkwilo mi w pa- mięci z owego czasu, to skaczą- ce niemal z dnia na dzień ceny gazet. Dochodziło do tego, że kupując gazetę dawało się za nią więcej papieru niż gazeta ważyła! 100.000 marek! 150.000 marek! 250.000 marek! Był to dla mnie swego rodzaju hazard, gdy spoglądałem codziennie na cenę dziennika i porównywa- łem ją z ceną z dnia poprzed- niego. Mój skromny budżet ucz- niowski też przeżywał wstrzą- sy. Co rano ojciec zostawiał mi pieniądze na tramwaj, ale tylko w jedną stronę. Z powrotem mogłem chodzić, miałem zdro- we nogi. Przejazd tramwajem

kosztował najpierw kilka ty- sięcy, potem kilkanaście, potem kilkaset tysięcy marek. A że ce- ny biletów tramwajowych, po- dobnie jak wszystkich, rów- nież zmieniały się z błyskawic- ą szybkością, zawsze otrzymy- wałem pewne nadwyżki, które skrzętnie gromadziłem wraz z innymi oszczędnościami (drogę do szkoły też przebywałem pie- szo!), aby po kilku tygodniach, gdy byłem już wielokrotnym milionerem, usławiłem sobie z rozpaczą, że za to wszystko, co uculąłem, mogę sobie co naj- więcej kupić dużego łoda u ulicznego sprzedawcy. Pracowni- cy „Republiki” urządzili się ma- drzej: w okresie inflacji gos- podarczej zagwarantowali sobie u wydawców pensje oraz wie- szówkę według kursu dolarowe- go i choć zarobki odbierali w markach, to w zasadzie nie na tym nie tracili, tyle tylko, że musieli się szybko wyzbywać pieniędzy, które walizkami zno- sili do domu, jak po „skoku” na bank.

Tymczasem moja droga po passe-partout wydłużyła się. Po wejściówki do kin chodziłem już na pierwsze piętro w lewej ofi- cynie, zaanektowane przez wy- dawnictwo na potrzeby rozra- stającej się redakcji. Gdy za- częli pracować w „Expresie”, pomieszczenia redakcyjne po- większyły się jeszcze o parter, a następnie o drugie piętro, które wewnętrznymi schodami połączone z pierwszym, gdzie

DALSZY CIĄG NA STR. 8

KSIAZKA KTORA ZOSTANIE?

Jest to zjawisko wiele znamienne, że z literackiego dorobku najważniejszej grupy pisarzy ocalała się przed zapomnieniem nie ich dzieła główne, do których sami przykładają wagę największą, lecz te, które stanowią jakby uzupełnienie zasadniczej i podstawowej twórczości artystycznej, a więc dzienniki, wspomnienia, listy itp. Któż sięga dzisiaj do licznych powieści Francois Mauriaka? Każdy natomiast weźmie do ręki jego „Pamiętniki życia wewnętrznego” i „Bloc-Notes”, publikowane latami na łamach czasopism i ogłaszane później w wyborach książko- wych.

Są pisarze, którzy weszli do historii literatury jedynie jako autorzy dzienników jak np. Paul Leautaud. Jego „Journal Litteraire”, obejmujący dwadzieścia tomów, stał się prawdziwą rewelacją literatury francuskiej. A bracia Goncourt! Jak wielką wagę przykładali oni do swoich naturalistycznych powieści, po których nawet ślad nie pozostał, a jak duże zna- czenie posiadają wciąż ich „Dzienniki”, znane chyba na całym świecie.

W Polsce, publikowanie dzienników pisarzy nie ma zbyt bogatej tradycji, ale przecież nie jesteśmy ich pozbawieni. Nie sięgając w od- ległą przeszłość, wymienimy „Pamiętnik” Stanisława Brzo- zowskiego, „Notatki z życia, obserwacje i motywy” Karo- la Irzykowskiego, „Brzegiem cienia” i „W alei bezpożytecznych rozmyślań” Jerze- go Zawieyskiego. Swoista for- mą dziennika jest „Pół wie- ku” Jerzego Putramenta. Og- laszane fragmenty „Dzien- ników” Jarosława Iwaszkie- wicza, Jana Parandowskiego i Wacława Kubackiego każą

się spodziewać, że przybędą nam rzeczy pod każdym względem ciekawe i zasługujące na uwagę.

Tymczasem czytelnik otrzy- mał „Dzienniki czasu wojny” Zofii Nałkowskiej, opa- trzone kompetentnym wstępem Hanny Kirchner, z do- skonale sporządzonymi obja- śnieniami. Pierwszy zapis tych dzienników pochodzi z 1 września 1939, ostatni z 10 lutego 1945 roku. Mamy więc tutaj zarejestrowane la- ta wojenno-okupacyjne, które Nałkowska spędziła w Warszawie, jeśli nie liczyć ucieczki wrześniowej i krótkich pobytów w Adamowiz- nie.

Muszę się przyznać, że nigdy nie należałem do entu- zjastów twórczości Nałkow- skiej. Doceniam jej talent i wiedzę, lecz nie mogę powie- dzieć, aby mnie jej powieści i dramaty fascynowały. W czasie mojej pracy w teatrze wystawiliśmy „Dom kobiet” i „Dzień jego powrotu”. — Jakże to wszystko sztuczne, wykonypowane, jakie nie- prawdziwe! A jej powieści „Choucas” jest dziś w ogóle nie do strawienia. Zestara- ła się tak dalece, że niktgo fakt jej niewznowienia nie może dziwić. Nie jedyna to powieść wybitnej pisarki, z którą czas obszedł się su- rowo, by nie powiedzieć — ni- szczyliście. Kto wie, czy najwybitniejszą książką Nał- kowskiej nie są szczerze ob- jętościowo „Medalliony”, w których potrafiła ona zwię- zle i przejmująco opisać okru- cieństwa, zadawane ludziom przez ludzi. W ogłoszonych obecnie „Dziennikach” pod datą 6 stycznia 1942 roku znajdziemy taki m.in. zapis: „Po wieloletniej przerwie od czytania dwie swoje książ- ki, „Hrabia Emil” przejął mnie wstydem i niesmakiem. Ze też mogłam tak zepsuć mnóstwo świetnych możli- wości!” Drugą książką były „Ściany świata”, ale o nich autorka ma lepsze mniema- nie. Nałkowska, która w „Dziennikach czasu wojny” poświęca sporo uwagi ana- lizie twórczości własnej, pró- buje również wyjaśniać te niepowodzenia. Oto w no- tacie pod tą samą datą, au- torka stwierdza: „Nie powin- nam się do niczego zmuszać, co mi jest niedostępne. Nie- chaj piszę tylko to, co sprawia mi przyjemność. A inne rzeczy niech piszą inni.” Pod datą 15 stycznia 1943 roku Nał- kowska zanotuje: „Jedynym powodem pisania jest u- mnie zawsze chęć zatrzyma- nia życia, ustrzeżenie go

przed zgnębieniem i zniszczeniem. Ponieważ najtrudniej jest mi zapisywać zdarzenia, opo- wiadać jakieś cudze sprawy, wychodzi więc na to, że osta- tecznie tylko utrwalam sie- bie”.

Wydaje się więc, że klęski artystyczne ponosiła Nałkow- ska tam i wtedy, gdy podej- mowała sprawy i problemy, leżące poza zasięgiem jej naturalnych skłonności i za- interesowań. „Dzienniki cza- su wojny” są bardziej niż jakakolwiek inna książka Nałkowskiej „utrwalaniem siebie”. Choć i tutaj nie wy- zbywa się ona poży i pew- nej manieri, tak drażniącej zwolenników jej talentu, w sumie jest to spowiedź szcze- ra, prawdziwa, głęboko ludz- ka. Ze wzruszeniem odczytu- jemy fragmenty poświęcone jej matce, siostrze, pracy fi- zycznej, z którą na dobre zetknęła się dopiero w cza- sie wojenno-okupacyjnym, z ciekawością śledzimy opisy spotkań z ludźmi znanymi i nieznanymi, opisy biednej ale nie upadającej na du- chu Warszawy. Wzrusza nas jej kokieteryjność, a trochę śmieszy przekonanie o wra- żeniu, jakie wywiera na od-

wiedzających ją pisarzach i kolegach.

Nałkowska bywa niespra- wiedliwa w ocenie ludzi i ich poczynaniach. Ale któż po- siada cnotę absolutnej spra- wiedliwości? Nikt nie może mieć racji zawsze i wszę- dzie. Ludzie myślą się czę- sto, a pisarze, być może, czę- ściej niż inni.

„Dzienniki czasu wojny” stanowią cenny dokument, tym cenniejszy, że pisany „na gorąco”, niejako z dnia na dzień. A swoją drogą dzi- wić musi to uparte zapisy- wanie uwag i rozmyślań, praca nad literackim kształ- tem zapisu w trudnych i nie sprzyjających warunkach, owo usilne dążenie, aby wy- powiedź była nie tylko możli- wie ścisła lecz i pięknie sformułowana. Obecny tom „Dzienników”, wartościowy sam w sobie, budził oskome- na następne, bliższe i dalsze w czasie, zapiski, które — razem wzięte — utworzą kil- ka pękających tomów, dając wgląd w przemiany epoki i warsztat pisarza.

Zofia Nałkowska: „DZIENNIKI CZASU WOJNY”. Czytelnik, Warszawa 1970, str. 505, cena: zł 42.—

NA MARGINESIE WYSTAWY GEO WIDE

Współczesna cywilizacja nade wszystko upodoba- ła sobie grafikę — grafikę w jej stokrotnych, tysięcznych odmianach i rodzajach. Jest ona wszechobecna: towarzyszy nam na ulicy i w kinie, w sklepie spożywczym i telewizji, w księgarni, na pocz- cie i na lotnisku. Żadna z dziedzin plastyki nie zo- stała w tak pełnym stopniu zaadaptowana przez na- szą cywilizację, do takiej rangi podniesiona jak właśnie sztuka graficzna. Stało się tak może w nagro- dę za to, że grafika z cywilizacją złączyła się w sa- mym swoim zaraniu i nie odstępowała jej przez ca- łe wieki na krok. Cywilizacja nie tylko wyniosła gra- fikę na piedestał, wywyższyła ponad inne dziedziny sztuki — ofiarowała jej ponadto wspaniałe środki techniczne i nieograniczone możliwości reprodukcji a- tym samym nieograniczone rejony działania. Właśnie owe środki techniczne i możliwości reprodukcji kuszą i wabią. Niewielu artystów oparło się im. Produkcja samej tylko grafiki artystycznej jest ogromna, a ilość idzie tu w parze z różnorodnością tematów i sposo- bów obrazowania. Wysoka jest fala przypiływu... Rów- nie wysoka jest fala banału, sztamper, płaskości. Lecz banał trudno jest zdemaskować, chroni go bowiem techniczna wirtuozeria.

Stoję oto przed barwnymi akwafortami Geo Wide, Szweda z Halsingborgu. Jest tu Wietnam, seks, macierzyństwo, żołnierze, kosmos, monety, medale, fallu- sy... Świat wiruje jak karuzela. Gama kolorów przy- tłumiona jakby to wszystko działo się w półcieniach pierwszego zmrzchu. Estetyczne, jak bardzo estetycz- ne i jak bardzo nienaganne technicznie i — tak odle- głe jakby działo się to wszystko na innej planecie, w innym świecie. Jakby mówiło o sprawach, których nie znam, o których nie nigdy nie słyszałem. Wiet- nam Szweda z Halsingborgu nie jest moim Wietna- mem. Jego niepokojące seksualne są mi obce. Jego „macierzyństwo” to dla mnie tylko głowa dziecka obok- głowy kobiety. Jego kosmos mnie nie porusza, nie- unosi, nie wciąga. I choć grafika Geo Wide jest ład- na, to jest tylko ładna. Jest ładna na bardzo krótko, na jeden raz. Nie wróć do niej.

Oglądam wystawę współczesnej grafiki światowej w Muzeum Sztuki, Błask technicolor, wysoki połysk, rycząca głowa lwa w świetlistym kółku i przerażające uczucie zimna. Dojmujące wrażenie, że wszystko to wyprodukowała maszyna a nie ręka ludzka. I ten oglądający kalejdoskop symboli, które w tym kontek- ście galanterii nic nie znaczą. Są próżne jak mydlana bańka, jak kielich pięknej weneckiej roboty opróżnio- ny z wina. Można kolekcjonować kryształowe kielichy, lecz są i tacy, dla których kielich jest martwy jeśli nie służy biesiadzie.

Na marginesie wystawy Geo Wide w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy w Łodzi.



SPÓŁKA z O.O.

Dalszy ciąg ze str. 7

była siedziba „Expressu” i gdzie miał swój gabinet redaktor Polak. Na samym końcu koryta- ra mieściła się zecernia i tutaj ustawiono linotypy. Pracownicy „Republiki” przenieśli się na drugie piętro, nad którym patro- nat objął Ołtaszewski. Ja, niby współczesny Nomad, wędrowa- łem z miejsca na miejsce. Pierwsze swe kawałki wystuki- wałem na parterze, potem za- awansowałem do pierwszego pię- tra, a gdy mutacje „Expressu” wyrastały jak grzyby po desz- czu, przesiedlono mnie na dru- gie piętro, przydzielając do towarzystwa Irene Weiss, rów- nież reporterce „Expressu”. O, gdyby ściany naszego pokoju mogły opowiedzieć o tym, co się tam działo, do jakich scen dochodziło między nami! Ale to temat oddzielnego opowia- dania, jeśli nie całej epopei.

Na parterze sterczało jeszcze miejsce na dwa linotypy i na kalander, a dawną wozownię Prusaka w głębi podwórza prze- kształcono na garaż. Stają tam ciężarówka, wydawnictwa

oraz dwa samochody osobowe. Maurycy Poznański miał wlas- ne auto, we własnym garażu, w naszym pałacu na rogu Gdańskiej i Śródmiejskiej (Wię- kowskiego). Tamte dwa należa- ły do spółki z o. o. Najpierw był „Buick” i „Citroen”, potem „Steyer”, którym przeważnie jeździł Ołtaszewski. A że nie miał do siebie zaufania jako do kierownicy — zawsze przy jego- bo- ku pełnił dyżur jeden z naszych szoferów: Zinczenko lub Wojnar. Tuż przed wojną kupiono jeszcze „Chevrolet”. Samochody redak- cyjne były do dyspozycji tylko szefów, nie pamiętam, żeby kie- dykolwiek ktoś inny z nich skorzystał. Ja w każdym razie, najczulsze słowo hono- ru — ani razu w żadnym z tych wozów nie siedziałem! Może to było i słuszne: po co nam samo- chody, gdy lwia część materiałów zdobywa się nakręcaniem tar- czy telefonicznej?

Parterowy lokal z frontu za- jąła w całości administracja. W dawnym pokoju naczelnych

ulożował się przez spółki z o.o. Maurycy Poznański, Siwy, przystojny, elegancki, podobny z wyglądu do prezydenta Moś- ciekiego, reprezentował wydaw- nictwo we wszystkich sprawach handlowych. Do redakcji wła- ściwie nie wtrącał się, chociaż od czasu do czasu popełniał ar- tykuły na tematy gospodarcze, podpisując się: Maurycy Ign. Poznański. Prezes miał najwięk- szy udział w spółce, pięćdziesiąt czy też nawet sześćdziesiąt procent. Resztą dzielili się fi- fty Ołtaszewski z Polakiem. Ale udział prezesa nie był w naszym zapisany. Mocą tzw. in- terczyzy, czyli majątkowej umo- wy małżeńskiej, Poznański so- dowal swój wkład i wszystkie wpływy z „Republiki” na swo- ją żonę. Nie był to jednak, jak- by się pozornie mogło wyda- wać, wzruszający gest kochają- cego męża, lecz bardzo popu- larny w owych czasach wybieg, mający na celu wprowadzenie w błąd władz fiskalnych w celu zmniejszenia podatków.

Między sobą nazywaliśmy pre- zesa „Morykiem” i jako taki słynął też w sferach towarzys- kich. A był on osobistością bar- dzo w Łodzi popularną. Lubił nie tylko interesy, ale i ko- bietki. Pan prezes był nawet całkiem sympatyczny. Miał zwy- czaj powtarzania końcówki os- tatnich wypowiedzianych słów, co dawało komiczne efekty: „Panie Mieczysławie, wie, wie, proszę mi przynieść herbaty, ty, ty!” Ale wada wymowy w innych

sprawach nie a nic mu nie prze- szkadzała.

W drugim, opróżnionym przez redakcję pokoju, urządził sobie gabinet Aleksander Goldberg, były dyrektor kina „Casino” („Polonia”). Został on drugim kierownikiem administracyjnym wydawnictwa. A żeby zaś udo- bruchać Łojsewa, któremu pod bokiem wyrósł konkurent, oby- dwu kierownikom nadano tytu- ły dyrektorów i tak się do nich zwracaliśmy. Zwłaszcza, gdy przychodziliśmy po zaliczki. Z tym zresztą nie było specjal- nych kłopotów: wystarczyło na- pisać na kartce cyrograf — pro- szę mi wypłacić a konto taką- a taką sumę i już po chwili pa- ni Bruzdowa odliczała pie- niążki.

Dyrektor Goldberg miał szer- sze zainteresowania niż „Mo- rylek”. Kobiętki, owszem, też lubił, ale kolekcjonował i ry- sunki. Tej drugiej pasji o ma- ło nie przyplacił życiem. Gdy oł- Berlin—Rzym—Tokio zmon- towała się na dobre, niezrów- nany Kos-Dobrzyński narysował Hitlera i Mussoliniego w sytu- acji dość jednoznacznej i od- wdzicając się dyrektorowi za jakąś przysługę podarował mu tę rycinę. Goldberg zawiesił ją rykaturę nad swym biurkiem. Gdy hitlerowcy po zajęciu Ło- dzi wkroczyli do pomieszczeń „Republiki”, z krzykiem rozpa- czy i oburzenia zdarł ów rysu- nek ze ściany, zdemolowali ca- ły lokal i wszczęli poszukiwa- nia za Aleksandrem Goldber-

giem, którego w tym czasie sa- mochód uwoził daleko od mie- scza przestępstwa. Dyrektor nie opuścił solo rodzinnego miasta: na tylnym siedzeniu, pośród wa- liz i tobołków, zgodnie zajęty obok siebie miejsca jego prawo- wita małżonka oraz fertyczna Hania z administracji, którą to Hanię Olek sprzątnął był Ra- wiczewi, powiedzmy sprzed no- sa i o romansie z którą pani dyrektorowa była poinformo- wana.

Ale to już był finał, odległy na razie o szereg długich lat. Wprawdzie, czarne chmury gromadziły się na horyzoncie od początku objęcia władzy przez Hitlera i wiele się na ten temat pisało, chyba jednak nikt w redakcji nie zdawał sobie sprawy z grozy sytuacji. Czesław Ołtaszewski, który w swych wnikliwych artykułach, obnażał cele hitlerizmu i ostrzegał przed brunatną zarzą, niewątpliwie najlepiej z nas wszystkich orientował się w skomplikowa- nej sytuacji politycznej. Dzi- siaj dopiero widać jak bardzo był on przewidujący. Na kilka lat przed światową tragedią na- pisał sztukę teatralną „Irenit- Alfa”, poświęcając ją zaprzy- jaźnionej z nim aktorce Irene Horeckiej. Sztuka, wystawiona w Teatrze Miejskim na Cegiel- nianej (Jaracza), była wręcz pro- roczna: przewidział w niej Oł- taszewski podbój świata przez Niemców, którym udaje się wy- naleźć cudowną broń „Wunder- waffe”.

Ołtaszewski był promotorem wszelkich większych akcji wy- dawczych. To jemu rosnący nakład „Expressu” podsunął myśl rozprawienia popular- nego tytułu po całym kraju. I tak, niezależnie od łódzkiego „Expressu”, którego pełna naz- wa brzmiała: „Express Wieczor- ny Ilustrowany”, powstaje „Ex- press Ilustrowany”, popularny dziennik poranny o masowym zasięgu sprzedażnym w Polsce. Efekty nie daly długo na siebie czekać: gdy łódzki „Express” drukował do 60.000 egzemplarzy dziennie (jak na ówczesne sto- sunki — rekord!), nakład wszy- stkich mutacji rychło skoczył do ćwierć miliona!

Wydania mutacyjne były fan- tasyjnym interesem. Operowa- no bowiem w znacznym mie- rzu jednym i tym samym mate- riałem, odpadały więc koszty skła- du, wierszówki. Najciekawsze kawałki z Krakowa szły na wydanie lwowskie czy poznań- skie, tak samo „bomby” ze Lwo- wa i Poznania pomieszczano na kolumnach innych mutacji. A co już było dla mnie najstrasz- niejsze — różne „michałki” z różnych stron kraju redaktor mutacji proponował Polakowi do łódzkiego „Expressu” i cho- ciaż sam nie z tego nie miał, przeważnie udawało mu się przekonać szefa, że to jest cie- kawsze od naszych lokalnych duperele.

„Express” miał swego przed- stawiciela w każdym mieście wojewódzkim. Taki przedstawici-

ROZMOWA Z KIEROWNIKIEM
WYDZIAŁU KULTURY PREZ. RN M. ŁÓDZI
— MGR. WOJCIECHEM BOCZKOWSKIM

— Mam na myśli pięć lat rozpoczynającego się obecnie planu na lata 1971—1975. Zapewne nie możemy spodziewać się ewenementów tej miary co na przykład oddanie gmachu Teatru Wielkiego, które było największym wydarzeniem minionych pięciu lat, ale — Łódź kulturalna ma jeszcze wiele potrzeb. Które z nich doczekają się zaspokojenia w tych latach?

— Tak samo jak w innych dziedzinach gospodarki, i w kulturze plan pięcioletni ma być zweryfikowany i zatwierdzony w ciągu pierwszego kwartału br. Wówczas będzie można mówić o tym co będzie zrobione na pewno. Na razie mogę podać tylko plany w najogólniejszym i najskromniejszym zarysie.

— Czyli niespodzianki mogą być tylko na plus, prosimy więc...

— W okresie, o którym mówimy, zakończona zostanie przy ul. Szczecińskiej budowa gmachu dla podstawowej szkoły muzycznej i Liceum im. H. Wieniawskiego. Wykorzystano tu budynek szkoły podstawowej, który ulega przebudowie i adaptacji dla potrzeb szkoły muzycznej, poza tym dobudowuje się kompleks nowych pomieszczeń. I jeśli już jesteśmy przy szkolnictwie muzycznym, to w opracowaniu jest dokumentacja remontu gmachu Państwowej Szkoły Muzycznej przy pl. Zwycięstwa.

Wśród innych zamierzeń, w ciągu najbliższych dwóch lat oddamy do użytku pięć nowych bibliotek w budujących się osiedlach mieszkaniowych: na Teofilowie A i C, Kuraku, Widzewie-Zachód i Wilczej-Golebiej.

— Czy w mieście notuje się wzrost czy spadek czytelnictwa?

— Wbrew temu, co uważają niektórzy, faktem jest stały wzrost czytelnictwa, a więc i ciągła potrzeba rozbudowy sieci bibliotek, właśnie w nowych osiedlach mieszkaniowych.

— Czy po generalnej przebudowie Teatru im. Jaracza, co było drugim, poważnym osiągnięciem minionej pięcioletki, inne teatry mogą spodziewać się poprawy warunków pracy?

— Istnieje potrzeba przebudowy i modernizacji dwóch teatrów: Nowego i Powszechnego. Obecnie opracowywane są projekty koncepcyjne tej przebudowy. Nie sprzeczowane jest jeszcze do końca koncepcja dotycząca przeznaczenia sali Teatru Rozmaitości. Wydział Kultury reprezentuje pogląd, że jest ona potrzebna Łodzi jako sala teatralna, zwłaszcza wobec perspektywy remontu dwóch budynków teatralnych. Takie ustalenie wiązałoby się z koniecznością przebudowy tej sali i szeregiem zabiegów modernizacyjnych.

Pewną poprawę warunków lokalnych przewiduje się dla muzeów łódzkich. W tej chwili opracowywany jest projekt remontu budynku szwedzkiego na Radogoszczu. Tam znajdzie pomieszczenie filia Muzeum

Historii Ruchów Rewolucyjnych — dział martyrologii. Oddanie tego budynku nastąpi w 1973 lub 1974 roku. Przewiduje się też remont budynku Muzeum Włókiennictwa oraz zakończenie remontu Muzeum Sztuki.

8 maja br. nastąpi odsłonięcie Pomnika Martyrologii Dzieci i Młodzieży w Parku Promienistych. Myślimy też o remoncie Pomnika Zwycięstwa w Parku Poniatowskiego i bieżącym pozimowym remoncie wszystkich pomników łódzkich.

— Czy przewiduje się budowę nowych kin?

— W najbliższym czasie nie. W tym roku zakończony zostanie remont „Włóknarza”, który otrzyma aparaturę 70-milimetrową. Zamierzamy rozpocząć remont dwóch następnych kin: „Polonii” i „Wolności”.

— A kiedy przestanie straszyc swym wyglądem gmach Łódzkiego Domu Kultury?

— Na pewno w tej pięcioletce. Trzeba będzie podjąć również sprawę budowy nowych domów kultury.

PIĘĆ LAT KULTURALNEJ ŁÓDZI

o czym powinny myśleć również zakłady pracy.

— Czy rozpocznie się rozpoczęcie budowy gmachów dla Filharmonii i Galerii Sztuki?

— Jesteśmy w posiadaniu planu potrzeb kulturalnych miasta, planu zatwierdzonego przez Egzekutywę KŁ PZPR na posiedzeniu w 1969 roku. Jest to plan bardzo obszerny i uwzględniający wszechstronne potrzeby miasta w dziedzinie kultury, obejmujący również jakimś dysponujemy. W planie tym figuruje i Filharmonia i Galeria Sztuki. Kiedy będzie można rozpocząć budowę — trudno w tej chwili powiedzieć.

— Wydaje się, że Łódź kulturalna nabrała w ciągu ostatnich lat nieco większego znaczenia pozalokalnego. Mam tu na myśli choćby kilka ogólnopolskich festiwali, które weszły już do kalendarza stałych imprez ogólnopolskich. Na przykład Spotkania Baletowe, Festiwal Poezji, czy Festiwal Muzyki Organowej. Ale przecież festiwale, to nie wszystko, tak samo jak budowa nowych gmachów nie jest równoznaczna z właściwym funkcjonowaniem instytucji, które je otrzymują. Co więc uważa ambitną, gładką poprawnością.

Pan dziś za najpilniejszą, najbardziej podstawową sprawę decydującą o rozwoju, o podniesieniu poziomu artystycznego naszych instytucji i placówek kulturalnych?

— Uważam, że istnieją dziś w Łodzi warunki do rozwijania rzetelnej i owocnej działalności, ale styl pracy przyjęty przez niektóre instytucje jest niewłaściwy. I dlatego niektóre mniejsze niż Łódź ośrodki, uboższe i nie dysponujące takimi środkami technicznymi, potrafią zabłysnąć inicjatywą, pokazać ciekawe przedstawienie teatralne czy imprezę muzyczną. Mam na myśli inscenizacje kontrowersyjne nawet, ale nowatorskie, poszukiwawcze, ambitne. U nas — myślę dla przykładu o teatrach — nie eksperymentuje się. Działa tu określona, ciasna i sama grupa ludzi, którzy zawsze i wszystko robią sami, utartymi metodami i środkami, bez ryzyka eksperymentu, bez poszukiwań nowych środków wyrazu artystycznego. Wydaje się, że dyrektorzy teatrów nie powinni zasklepiać się w kręgu miasta, powinni zapraszać reżyserów i realizatorów spoza Łodzi, poszukiwać nowych rozwiązań, skończyć z małym naszym społeczeństwem kształciącym się od 25 lat, rozwija intelektualnie



Fot. E. Kudaj

niż dotychczas koordynacja działalności ze związkami zawodowymi. Związki mają doświadczenie i bogaty dorobek w dziedzinie amatorskiego ruchu artystycznego i pracy kulturalno-oświatowej. Ale do swojej pracy powinny w większym stopniu wykorzystywać placówki zawodowe, popularyzując to co w ich osiągnięciach, repertuarze jest najcenniejsze, najbardziej wartościowe, prezentujące walory wychowawcze. Wydaje się, że Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych powinna koordynować swoje plany działalności kulturalnej z kierunkami działania placówek i instytucji zawodowych.

— I to chyba w szeroko pojętym zakresie, na przykład zapoznawania społeczeństwa z historią kultury miasta. O ile mi wiadomo sprawa ta jest szczególną troską Wydziału?

— W ogóle historia miasta. Mówi się, że Łódź jest pozbawiona zabytków, że to tylko ulica Piotrkowska i kilka domów które się na niej nie zmieściły. Opinia ta jest tyle powszechna co krzywdząca i nieprawdziwa. Oczywiście nie możemy mówić o zabytkach tego typu jakiego ma Kraków, czy inne najstarsze miasta polskie. Ale Łódź jest największym skupiskiem XIX-wiecznej architektury, a jej zabytki wiążą się ściśle z historią i rozwojem klasy robotniczej w Polsce. Jednym z naszych podstawowych zadań będzie więc ochrona najcenniejszych pamiątek XIX-wiecznej kultury i architektury. Obecnie przeprowadzamy inwentaryzację zabytków. Po zatwierdzeniu

przez Prezydium RN listy i ogłoszeniu jej w dzienniku urzędowym, będziemy mogli podjąć akcje zapobiegającą dewastacji niektórych obiektów. Nie negując potrzeby a nawet konieczności rozbudowy i modernizacji miasta, musimy dbać o to, by nie zaginęły w niej unikalne zabytki. Jeśli za zbytek zostanie uznany cały obiekt architektoniczny, to będziemy się starali zachować go, oddając odpowiedniemu użytkownikowi. Na przykład w Ratuszu na pl. Wolności chcemy urządzić muzeum historii miasta; zabytkowy pałac przy ul. Włoczańskiej, gdzie obecnie mieści się przedszkole, zamierzamy oddać Biuro Wystaw Artystycznych, dzięki czemu Łódź zyska jeszcze jedną salę wystawową. Dawny pałac Herbsta u zbiegu Przędzalnianej i 8 Marca chcemy przeznaczyć na muzeum wnętrza — filię Muzeum Sztuki.

Planujemy też wydawnictwa z tego zakresu: przewodnik po miejscach pamięci narodowej miasta, katalog architektury i budownictwa zabytkowego, monografię Białej Fabryki i inne, a także wydawnictwo: ul. Piotrkowska w ikonografii, jeśli starczy zebranego materiału.

— Myślę, że przyszedłoby tu z pomocą społeczeństwo w gromadzeniu materiałów. Jestem przekonana, że ten dział pracy zdobędzie szczególne uznanie społeczne i aprobatę łódzian.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

ciel był jednocześnie dyrektorem i redaktorem, otrzymywał profit z sprzedawanych gazet i ogłoszeń oraz wierszówkę, za rabiał więc krocie. Nie tedy dziwnego, że gdy zaczęły się tworzyć filie „Expressu”, każdy chciał przejąć taką mutację. Ale gdy kilku kolegów zgłosiło swe kandydatury, okazało się, że placówki zostały już obsadzone. Najatrakcyjniejszą Kraków przypadł Bromowskiemu, swagrowi Oltaszewskiemu. W Gdyni przedstawicielstwo objął Klechowski, chętny się swym rodowym sygnetem, Śląsk powierzono byłemu pracownikowi redakcyjnemu Gilczewskiemu, zwanemu „Manjou” z racji swego uwodliwego węża, we Lwowie był Melman, w Wilnie Ancelowicz, w Lublinie Gostyński. Po ostatnim spotkaniu się z ostatnim w Australii, w tym samym czasie co z moim kuzynem i Polakiem. Gostyński lepiej wylądował od swego dawnego szefa. Gdy Polak dorobił się w Sydney zaledwie sklepu bławatnego i to dzięki obrotności swej małżonki, Gostyński, skróciwszy sobie nazwisko na Gostin, otworzył dwa sklepy ze szklaną biżuterią i zarobiwszy na nich — kupił duży dom czynszowy.

Po mutacjach „Expressu”, a właściwie w trakcie ich powstawania, ukazuje się nowy tytuł wydawnictwa, redagowany na podobnych zasadach co regionalne wydania „Expressu”, to

znaczy pod kątem maksymalnych oszczędności. Po co wypuszczać nową gazetę, gdy można ze starej zrobić dwie? „Republika” kosztuje 20 groszy i ma 10, 12 a w niedzielę 32 strony. Zostawił się z niej najważniejsze wiadomości i sprzeda je jeszcze raz. I tak przychodzi na świat bez bólu porodowych czerstonowca „Gazeta 5 groszy dla wszystkich”. Ogłoszenie oczywiście tu nie ma, chyba, że zleceniodawca zażyczył sobie reklamy i w pięciogroszowe, dodatkowo za to płacić.

— Ale ludzie chcą czytać i o czymś innym, chcą się oderwać od rzeczywistości, trzeba im dać zajmującą lekturę. I oto któregoś dnia w kioskach pojawia się nowy tygodnik w kolorowej okładce na złotym tle — „Co Tydzień Powieść”. Tytuł chwytą z miejsca. Poza sensacyjną powieścią jest tu również nowela, są dobre rady dla zakochanych, rozrywki umyślnie z nagrodami, kącik humoru, ilustracje — mein Liebschen, was willst Du noch mehr?

Każdy nowy tytuł przede wszystkim przez nas witany był z radością, bo to przecież mógł woiści nowych, dodatkowych za robików! Na „CTP” liczyłem szczególnie, gdyż redaktorem tygodnika został mój serdeczny przyjaciel Edmund Bartoszek. Ale, niestety, co ciekawsze rubryki zaklepał już u naczelnego moim koleżdy, dla mnie właśnie ciwie nie nie zostało. A tu czeka mnie urlop w Sopocie, do-

każ wyjechała na lato ze swymi rodzicami moja sympatia Alicja. Edmund wysłuchał mnych żalów, pokłonił głową i rzekł: — Co się będziesz, chłopie, przejmował? Masz w domu maszynę? Niech ci Roman nakroi papieru i machnij powieści! Sto złotych poleci i po kłopotcie. — Łatwo powiedzieć „machnij”, ale o czym machnąć? Taklemu Holzblatowi z Urzędu Wojewódzkiego to dobrze. Dostaje nie mieckie wydawnictwa powieściowe i tłumaczy, a ja muszę sam wymsiać!

— Dam ci fajny tytuł — mówi Edmund. — „Miośce kwitnie w maju”. Dobry szlagwort, co? Leć do chaty i szrajbuj!

Wróciwszy do domu, zamknąłem się w pokoju, wkręciłem papier, u góry napisałem swe nazwisko, pod tym tytuł i potarłem podbródek. O czym tu napisać? Po pół godzinie doszedłem do wniosku, że im dłużej będę myślał, tym gorzej — i nacisnąłem na klawisz. Zaczęła się scena miłosnej, gdy on pada do jej stóp, a co było dalej — naprawdę nie pamiętam.

Mniej więcej w tym samym czasie co „CTP” przyszyła na świat „Panorama”, popularny magazyn tygodniowy. Tutaj za działaniem szybkiej i wytrzymałej do siebie dział rozrywkowy umysłowy i kącik humoru. Stała, najatrakcyjniejszą pozycję miał w „Panoramie” Miecisto Jagoszewski, czyli Andrzej Zański. Pisał dla niej całostronicowe nowele, które szły

na okładkę. Jednym materiałem, jakim dysponował, były kolorowe fotografie, które wraz z tekturowymi matrycami dostałyśmy z agencji zagranicznych. Do tych to fotografii, wyobrażających raz scenę moru, raz zakochane parki, Miecisto w ciągu kilku godzin musiał spłodzić nowelę.

— Ale najcenniejsze były matryce o przygodach Pata i Patachona, popularnych komików filmowych, nadsyłane przez agencję duńską. Początkowo Pat i Patachon ozdabiali niedzielne wydania „Expressu”. Jednakże matryce otrzymywałem my więcej niż popołudniówka mogła pomieścić, co dało wydawcom asumpt do stworzenia jeszcze jednego tygodnika ilustrowanego dla dzieci i młodzieży pod tytułem „Karuzela”. Pierwszą stroną oddano w pacht obydwu wesołom, grubaskowi i chudzielcowi. Na ostatniej stronie były inne kolorowe serie rysunkowe: „Przygody Ferdka i Merdka”, „Król Miau-Miau i królewski dwór”, a w środku powieści z dalszym ciągiem, nowele, komiksy, cała kolumna rozrywek umysłowych i na zapach dziurę szpała ta dowiepów.

„Karuzela” redagował Ryszard Manugiewicz. Była to wolta o sto osiemdziesiąt stopni, bo przed tym Manugiewicz prowadził dział gospodarzy w „Republika”. Nie wiem jakie były przyczyny tego posunięcia, w każdym razie doświadczony ekonomista okazał się również do-

mięta okazał się również do- brym redaktorem czasopisma dla dzieci. Wydawcy zaś, zachęcając powrotem, wypuścili jeszcze „Wędrowca”, tygodnik ilustracyjny „dla wszystkich”. Przez jakiś czas redagował go Tadeusz Zeromski, a ostatni rok Jagoszewski. Doświadczenie pedagogiczne widać bardzo Miecistowi pomogło, bo zwiększył na kład tygodnika.

Co roku też tradycyjnie wychodził kalendarz „Expressu”, pękate tomisko z przedrukami z całej prasy, nie wyłączając i naszych gazet oraz czasopism. A że maszyna rotacyjna miała jeszcze jakieś luzy, puszczone na nią... „Pana Tadeusza”. To był najnowszy pomysł moich pryncypałów: rzucić na rynek lekturę szkolną i niską ceną wyprzedzić dotychczasowych wydawców.

W kilka tygodni po wydrukowaniu Mieciewiczowskiej epopei, któryś z naszych kolegów był w Wilnie. Na ulicy przy koszu pełnym broszur zobaczył brodatego obywatela w długim englezie, zabijającego ręce z zimną i wolającego na cały głos: — Ostatnia nowość pana Mieciewicz! „Pan Tadeusz” za jedyne 30 groszy! Jak się ruskie naparziali na Litwie z Polakami za jedyne 30 groszy!

Mimo tak efektownej reklamy, „Pan Tadeusz” nie miał specjalnego powodzenia i o ile mnie pamięć nie myli tego rodzaju pozycji wydawnictwo już więcej nie wypuściło. Pojawiały

się natomiast trzy nowe tytuły cotygodniowe, lansujące bohaterów z Zachodu: „Lord Lister”, „Buffalo Bill” i „Harry Dickson”.

Tak więc, jak nietrudno obliczyć, łódzka przedwojenna spółka z o.o. „Republika” wydawała 12 stałych tytułów, w tym cztery codzienne (ponad 20 mutacji „Expressu” licząc za jeden tytuł), siedem tygodników i jeden rocznik. Iu dziennikarzy za trudniło przy kręceniu tej apokaliptycznej maszyny? Zaraz, niech no sobie przypomnę, przebiegając pamięcią pokój za pokojem, jak siedzieli przed samą wojną w koleżności. A więc: Sandmer, obaj Cukierowle, Polak, Kałuszynier, Feferman, Pas sierman, Drodzowski, Weiss, Kołński, Winter, Bartoszek, Rawicz, Bólski, Gluck, Grunfeld, Weissowa, Ochocki, Kusto, Manugiewicz, Rosner, Górski, Oltaszewski, Jagoszewski, Smuczyński, Kupfer... A więc 36 dziennikarzy na 12 tytułów, po dwóch dziennikarzy z kawałkiem na jeden tytuł. Nie tedy dziwnego, że interes kwitł, przynosząc kośmowe dochody. Oczywiście wszystko dzięki tajemnej mocy zawieszono nad bramą sztydu talizmanu...

ADAM OCHOCKI

Z przygotowanego do druku tomu wspomnień p.t. REPOR TER PRZED KONFESJONALEM, Czyli jak przed wojną robiło się w Łodzi gazetę.

Ogólnopolski Festiwal Poezji

Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, Wydział Kultury oraz Związek Literatów Polskich, Oddział w Łodzi, organizują w dniach 24 - 26 maja 1971 roku VI Ogólnopolski Festiwal Poezji.

W ramach Festiwalu nagrodzony zostanie najwybitniejszy tom wierszy wydany w okresie międzyfestiwalowym (maj 1970 - maj 1971) oraz wydany w tym okresie najwybitniejszy zbiór esejów traktujących o poezji.

Za najwybitniejszy tom wierszy oraz za najwybitniejszy zbiór esejów przewidziane są nagrody po 10.000 zł każda, z tym, że może także nastąpić inny podział nagród.

W trzecim dniu Festiwalu przewidziany jest także „turniej jednego wiersza”, przy czym zostaną przyznane trzy nagrody w łącznej wysokości 3.000 zł.

Warunki i sposób przyznawania tych nagród należą do swobodnego uznania organizatorów.

Z okazji VI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji ogłoszone zostają niniejszym dwa konkursy poetyckie, których regulamin przedstawia się następująco:

Regulamin

Konkursy obejmują:
1. Konkurs otwarty dla poetów wszystkich pokoleń na nie publikowany utwór poetycki (wiersz, poemat) o tematyce dowolnej.
2. Konkurs otwarty dla poetów wszystkich pokoleń na nie publikowany utwór poetycki (wiersz, poemat) o tematyce łódzkiej.

I. WARUNKI KONKURSOWE

1. W konkursach mogą wziąć udział zarówno członkowie Związku Literatów Polskich jak i poeci nie zrzeszeni, debiutujący.
2. Pość nadsyłanych utworów przez jednego autora jest nieograniczona.
3. Utwory poetyckie winny

być sporządzone w formie maszynopisu i w trzech egzemplarzach oraz zaopatrzone w godło autora.

4. Utwory te winny być nadesłane do Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, ul. Piotrkowska 104 w zamkniętej kopercie z dołączoną do niej w sposób trwały drugą kopertą zawierającą oprócz godła również imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres.

5. Termin nadsyłania utworów upływa w dniu 31 marca 1971 roku. W razie wątpliwości o terminie wpływu utworu decyduje data stempla pocztowego.

6. Utwory nie odpowiadające warunkom, o których wyżej mowa, nie będą przedmiotem oceny Sądu Konkursowego.

7. Nadesłane utwory nie podlegają zwrotowi.
8. Ocena utworów, których twórcy nie uzyskali nagród nie zostanie ujawniona przez Sąd Konkursowy nawet samym zainteresowanym.

9. Ogłoszenie wyników konkursów nastąpi w pierwszym dniu VI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji tj. w dniu 24 maja 1971 r.

II. NAGRODY

Przewiduje się następujące nagrody:

1. W konkursie otwartym

na utwór poetycki o tematyce dowolnej:

jedną I nagrodę w wysokości 5.000 zł;

dwie II nagrody w wysokości 3.000 zł każda;

trzy III nagrody w wysokości 2.000 zł każda.

2. W konkursie otwartym na utwór poetycki o tematyce łódzkiej:

jedną I nagrodę w wysokości 5.000 zł;

jedną II nagrodę w wysokości 3.000 zł;

jedną III nagrodę w wysokości 2.000 zł.

3. Organizatorzy zastrzegają dla Sądu Konkursowego prawo nieprzyznawania nagród, bądź dokonania innego podziału nagród, jeżeli Sąd Konkursowy orzeknie, że utwory objęte oceną nie reprezentują dostatecznego poziomu artystycznego.

III. SĄD KONKURSOWY

1. O przyznaniu nagród decyduje co najmniej 9-osobowy Sąd Konkursowy powołany przez organizatorów spośród wybitnych poetów i krytyków przy czym w skład tego Sądu wchodzi ponadto przedstawiciel organizatorów Festiwalu.

2. Sposób ukonstytuowania się Sądu Konkursowego oraz ustalenie kryteriów i zasad dokonania oceny utworów na leży do Sądu Konkursowego.



SCENOGRAF – PERSONA GRATA (II)

Na marginesie filmu o scenografii telewizyjnej zamieściłem przed dwoma tygodniami pierwszą część rozważań nad tym ważnym elementem widowiska TV. Dziś wracam do tego tematu.

W pierwszej części szkicu porównywałem pracę scenografa teatralnego i telewizyjnego. Wystąpił nam przy tym jasne różnice w samym założeniu. W teatrze scenograf rozwiązuje plastycznie całość sceny, w telewizji – ma nie włączyć zaledwie skrawki ekranu, niewielkie polece. Ona musi mieć kategorię poszczególnych kadrów, uzupełniać je elementami plastycznymi nierzadko czastkowymi.

A jaka jest relacja scenografii telewizyjnej do filmowej? Tu podobieństw jest z pewnością więcej. W atelier filmowej dekoracje budowane są również w taki sposób, by spełniły określone role na ekranie. Nie są przecież przeznaczone do bezpośredniego oglądania, przez publiczność, tak jak to ma miejsce w teatrze. Nie mają więc samostojnej, autonomicznej wartości plastycznej. Nie byłoby sensu organizować wystaw scenografii filmowej.

Scenografa filmowego musi więc cechować pewien szczególny typ wyobraźni. Gdy wykonuje szkice dekoracji, musi wyobrazić sobie, w jaki sposób je zbudować, by dały zamierzony efekt ekranowy. Nie będzie tu się, oczywiście, wdał w szczegóły, ale jedno stwierdzenie chciałbym powtórzyć z całym naciskiem: nie sposób oceniać pracę scenografa filmowego patrząc bezpośrednio na dekoracje w atelier. Dopiero jej odbicie na ekranie pozwoli nam dokonać właściwego osądu.

A zatem – jak dotąd – udało nam się wyraźnie wyodrębnić odmienną funkcję scenografii teatralnej. Teraz kolej na wydobycie specyficznych różnic między scenografią filmową i telewizyjną. Różnice takie istnieją, choć trudniej je może wydedukować.

Wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, przynajmniej podświadomie, że czytelność obrazu (albo bardziej uczucie: definicja obrazu) jest na ekranie telewizyjnym znacznie mniejsza niż na kinowym. Szklany ekran nie jest jakby w stanie wchłoniąć tak wielkiej ilości szczegółów jak ekran kinowy. Nawet ten standardowy, nie mówiąc już o panoramycznym.

Dla uproszczenia rozumowania wyłączam całkowicie z rozważań sprawę filmu barwnego. Ale i film czarno-biały ma znacznie większą czytelność niż telewizja. Barwę zastępuje tu gradacja walorowa. Oznacza to, że poszczególne płaszczyzny ekranu posiadają różny stopień nasycenia czernią. Odtóż ta skala szarości pomiędzy czernią i bielą jest w filmie dosyć duża i wyraża się liczbą ponad trzydziestu odcieni. Na ekranie telewizyjnym doloczyćlibyśmy się zaledwie dziesięciu odcieni szarości. To prymitywizuje obraz i zacięra wiele subtelności plastycznych.

Dlatego właśnie telewizja lubuje się w dużych zbliżeniach. Elementy scenograficzne muszą być projektowane z myślą o tym, że będą ukazywane w tych właśnie zbliżeniach. Natomiast film operuje często planem ogólnym, w którym ukazywane są duże kompleksy scenograficzne, na przykład całe budowiska. Można więc spróbować określić różnicę w ten sposób: scenograf filmowy musi myśleć o pewnej syntezie plastycznej, która dokona się na ekranie, natomiast scenograf TV bardziej skupić się winien na szczególe. Przeladowane tło obrazu telewizyjnego nie wzbogaca przy tym przejęcia plastycznego widza, lecz często prowadzi do dezorientacji.

Świadomość tej specyficznej pracy scenograficznej tworzący twórczości niektórych (dalece nie wszystkich!) artystów współpracujących z naszą telewizją. Z pewnością wymienić tu należy Xymenę Zaniewską, czy Jerzego Masłowskiego. Nie chcę zresztą bawić się w wyliczanie.

Jedno jest pewne. Pozornie drugoplanowa, raczej dyskretna niż agresywna rola scenografii w widowisku telewizyjnym ma ogromny wpływ na ostateczny efekt artystyczny całości. A scenograf w telewizji to persona grata.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

„RUBINOWA HORTENSJA” PO RAZ SIÓDMY

Zaczął się w 1965 roku od Turnieju Jednego Wiersza. Zwykli wtedy Andrzej Biskupski. Ale już w 1966 w redakcji „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” zrodziła się nazwa: jest w Piotrkowie Huta Szkła Gospodarczego „Hortensja” – najstarszy zakład wielkoprzemysłowy miasta, znany z bogatych tradycji rewolucyjnych, produkujący wśród bogactwa technologii piękne rubiny...

W tym roku podsumowany zostanie VII Konkurs Literacki o „Rubinową Hortensję”, którego organizatorami są: ZW ZMS, HSG „Hortensja”, Wydział Kultury Prezydium WRN i MRN w Piotrkowie, Oddział Łódzki ZLP, „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” oraz ZM ZMS w Piotrkowie.

Konkurs organizowany jest dorocznie dla młodych twórców, szczególnie z województwa łódzkiego i zielonogórskiego.

Prace prozatorskie i poetyckie należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do I III br. na adres Zarządu Wojewódzkiego ZMS w Łodzi, Al. Kościuski III/113 – w dziale poezji; po 3 utwory poetyckie w 6 egz. maszynopisu, w dziale prozy utwory nie powinny przekraczać 15 stron maszynopisu w 3 egz.

Na zwycięzców w każdym z tych działów czekają puchary „Rubinowej Hortensji” ufundowane przez HSG „Hortensja” w Piotrkowie oraz po 2.000 zł, laureaci II nagród otrzymają po 1.500 zł, a III – po 1.000 zł. Przyznane będą także wyróżnienia po 500 zł oraz wyróżnienia za najdłuższe debiuty.

Informacji na temat Konkursu udziela Wydział Propagandy ZW ZMS, tel. 657-32.

Ź.k.j

Spektakle tygodnia

TEATR WIELKI

„Zemsta nietoperza”	1	1095	87
„Faust”	2	2520	100
„Wieczór baletów polskich”	1	1069	85
„Aida”	1	1260	100
„Jeziro łabędzie”	1	1053	85

NOWY

„Będę mówił szczerą prawdę”	3	2100	100
„Zemsta”	2	1400	100
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę”	1	700	100
„Za siedmioma górami”	1	560	80

NOWY

Mala Sala			
„Rodeo”	1	160	80
„Cienie”	3	600	100

POWSZECHNY

„Profesja pani Warren”	3	1800	90
„Zatopione królestwo”	2	1320	100
„Mniszki”	2	1000	85

JARACZA

„Ballada o tamtych dniach”	1	499	90
„Jęgor Bułyczow i inni”	2	1059	96
„Placówka”	2	1078	97
„Wszystko w ogrodzie”	3	1101	86

I.15

„Leziern”	5	1829	87
-----------	---	------	----

FILHARMONIA

koncerty symfoniczne	2	900	65
----------------------	---	-----	----

OPERETKA

„Dama od Maxima”	6	4230	63
------------------	---	------	----

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„Zbieg z Alcatraz” nie jest zwykłym filmem gangsterskim, czy „thrilerem” wywołującym II tylko dreszcz emocji. Historia filmu amerykańskiego dostarcza przykładów na to, iż dość nieoczekiwanie (dla widza europejskiego) filmy gangsterskie można traktować jako utwory o silnych akcentach społecznej krytyki, filmy, w których obraz Ameryki odbiega daleko od jej typowych wizerunków kolportowanych przez Hollywood. Tak było np. z czarną serią gangsterskich filmów lat czterdziestych.

Znani naszej publiczności „Zabójcy” D. Siegela czy „Zbieg z Alcatraz” J. Boormana, dramaty gangsterskie z lat sześćdziesiątych, przypominają, że w kinie amerykańskim temat ten nie stał się nowym wyłącznie pretekstem dla realizacji filmu sensacyjnego, wyrasta bowiem z pokładów społecznej rzeczywistości i tym samym daje okazję do takiej jej penetracji, iż przekracza granice gatunku, którego założeniem byłoby dostarczenie odbiorcy wyłącznie mocnych wrażeń.

„Zbieg z Alcatraz” wprowadza nas w świat, w którym rozkwit cywilizacji jest wprost proporcjonalny do załamywania uczuć i odczuć, które zwykliśmy nazywać człowieczeństwem. Reżyser John Boorman diagnozuje swęj nie ogranicza do gangsterskiego środowiska

bohaterów swęgo filmu. Sposób, w jaki Boorman patrzy na Amerykę, sugeruje, iż działanie ludzkie determinuje w tym kraju cywilizacyjna rzeczywistość.

Los Angeles i San Francisco od pierwszych kadrów filmu jawią się jako pustynia której piaski zastąpiły żelbetonowe konstrukcje domów, hoteli i biurowców, mostów i ulic. Wymowy tego w znakomitych wielkich planach filmowanego, pejzażu nie zmienia palmy zachowane przy luksusowych willach, ani migocące nocą neony, stanowiące złude wesołości. W pejzażu tym uwijają się ludzie w pogoni za luksusem domów i samochodów, które tak jak i owe masy betonowe, rozdzielają ludzi, a uczucia ich sprowadzają się do jednej namiętności – posiadania pieniędzy. „Zbieg z Alcatraz” zdaje się mówić, że gangsterski świat ludzi, dla których rabunek i mord to zwykły, zawodowy proceder, jest naturalnym, a przy tym znakomicie funkcjonującym przejawem i elementem tej społeczno-cywilizacyjnej rzeczywistości. Boorman z przypadku krańcowo, lecz watek ten obwarował kontekstem obrazów powokujących do uogólnień. Dlatego też „Zbieg z Alcatraz” wychodzi z szeregów zwykłych i zemsty, rozegrana w świecie zawodowych gangsterów którzy przecież wcale nie działają w ukryciu, są normalnymi, oficjalnie świetnie prosperującymi obywatelami społeczeństwa amerykańskiego. Przyjęcie tej sprawy przez Boormana jako rzeczywistości, zachowanie postawy zimnej konstatacji, jest jednym z najbardziej przejmujących akcentów filmu.

Ową postawę, na pozór zimnej i beznamietnej obserwacji, zastosował reżyser również w sposobie prezentacji głównego bohatera filmu, Walkera. W osobie Lee Marvin’a znalazł idealnego wykonawcę swych intencji. Marvin w znakomity sposób kreuje postać, w której postępowaniu zimna determinacja i energia w wykonaniu zemsty idzie w parze z apatią, znudzeniem i narastającą świadomością bezsensu tego działania.

Wielkiej sugestywności filmu Boormana o także zasadniczych jego atutów artystycznych szukać również na leży w umiejętności łączenia postawy zimnej obserwacji z dynamizmem filmowej narracji, która zachowuje pełną adekwatność wobec dramatyzmu akcji i postaci tego okrutnego i pięknego filmu.

„Zbieg z Alcatraz” był pierwszym filmem Boormana – reżysera telewizyjnego, „OPOWIEŚCIĄ DO PODUSZKI”

„KI” debiutował również inny reżyser telewizyjny, R. Levy. O ile w pierwszym filmie debiut uznać można za sukces, o tyle w drugim szansą okazał się aktorzy a nie reżyseria. Jak na komedie z zacięciem satyrycznym, akcja „Opowieści do poduszki” toczy się zbyt niemrawo, a dowcipy słowne czy sytuacyjne nie zawsze legitymują się dobrą marką. Wiodącym pomysłem filmu było zderzenie dwu osobowości aktorskich – wyspecjalizowanego w groteskowej komedii Davida Nivena i debiutującego w komedii Marlona Brando, wcielających się w role dwu obiboków, żyjących w piętnej dzy tyle samo bogactwach co nie grzeszących intelektem Amerykanek. Tema ten filmu jest konkurencyjnym działaniem obu panów. Nivena – wytwornego arystokraty, który wyludza pieniądze dla biednych obywateli swęgo nie istniejącego państwa i Brando – gruboskórnego kaprala wojsk amerykańskich, który zdobywa pieniądze na operację nie istniejącej babki. Zasługą obu sympatycznych przeciwników jest umiejętność wcielenia się w owe mocno niesympatyczne postacie. Ze całości okazuje się dość niesmaczną i żalostną to już wina scenariusza i jego filmowej realizacji. W tego typu komedii albo należy zdobyć sympatię widza dla skądinąd dwuznacznych postaci (vide komedia złodziejska typu „Topkap”), albo ostrzem satyry działać bardziej sprawnie.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

COCO CHANEL

Niedawno zmarła w Paryżu jedna z największych dyktatorek mody kobiecej — Coco Chanel. Była postacią niemal legendarną. W zeszłym roku stała się nawet bohaterką musicalu „Coco”, którego autorami

byli turyści, gorsetów, nadmiaru koronek. To ona odważyła się potem wprowadzić spódnice dla kobiet. Kiedy w roku 1936 w wypadku samochodowym ginie jej ukochany, Chanel przyrzeka: „Dla Ciebie mój najdroższy, ubiorę wszystkie kobiety w czerń”. Ubie

Ważnym, Marsylii, a obecnie odbywa się w muzeum sztuki współczesnej w Zurychu. Ta ostatnia jest niezwykle starannie przygotowana. Grożąca 1.200 eksponatów jak maski, amulety, rzeźby, broń, ozdoby, fetysze. Dr René Wehrli konserwator muzeum poddał eksponaty przeznaczone na wystawę bardzo ostrej selekcji, kierując się przy ich wyborze względami autentyczności i walorów estetycznych. Po raz pierwszy na wystawie do Europy przystąpiły eksponaty muzeum z Nigerii. Nigeria bowiem zgodziła się tylko dlatego wysłać je do Szwajcarii, że państwo to nie było nigdy imperium kolonialnym. Inne eksponaty przybyły z wielu muzeów świata jak i od znanych kolekcjonerów sztuki murzyńskiej.



Kostiumy Chanel do „Antigony” Cocteau

Alan Jay Lerner i Andre Previn.

Gabrielle-Bonheur Chanel urodziła się 17 lat temu w Saumur w Oweruni. Wcześniej osierocona pozostawała na opiece dwóch ciotek. Dorastając, przez całe lata Gabriela musiała szyć... swoją wyprawę ślubną. Po latach wspominać będzie te beznadziejnie smutne dni w Saumur. Gdy ma lat 17, ta panna o oczach gazeli i głowie „małego czarnego labradra” — jak to później określił Jean Cocteau — wyrusza się do Paryża, gdzie z początkiem zakłada skromny sklep z kapelusznymi. Rozwija go potem w pracownię sukien z wszelkimi dodatkami, by wreszcie po różnych kolejach losu, dzięki swemu talentowi i niespożytej energii, zostać królową mody, właścicielką jednego z najsłynniejszych na świecie domów mody. Nazwana przez przyjaciół „Coco”, kugocikiem, gdyż wcześniej lubiła wstawać, Chanel dokonuje rewolucyjnych zmian w modzie kobiecej. To ona uwalnia kobiety z dziewiętnastowiecz-

ra się teraz w czarne sukienki przybrane perłami, nosi krótko obcięte włosy i na całym świecie kobiety ulegają tej modzie. Chanel miała wielu przyjaciół wśród artystów, malarzy, pisarzy. Jej energię podziwiała Colette, zasięgała jej rady Diaghilew, cenili ją Picasso, a Jean Cocteau mówił o niej, że „ja kimś cudem zastosowała w modzie prawa, które jak dotąd stosowane były jedynie w malarstwie, poezji, muzyce.” W jej rękach, zdaniem wszystkich, którzy ją znali, stroje kobiece stawały się dziełami sztuki.

Ostatnią jej kolekcją, podobną jedną z najpiękniejszych, została pokazana już po śmierci Coco-Chanel, w styczniu br.

SZTUKA MURZYŃSKA

W ostatnich latach wzrosła znacznie zainteresowanie sztuką murzyńską. Jest ona coraz bardziej popularyzowana. Odbyły się już wystawy w Paryżu, Dakarze (Senegal), Londynie,



Terakota z V w. p.n.e.

Wystawa w Zurychu tworzy też jasny i bardzo oryginalny obraz sztuki murzyńskiej na przestrzeni dwudziestu pięciu wieków.

PAMIĘTNIK VIRGINII WOOLF W NOWYM JORKU

Nazwisko angielskiej pisarki Virginii Woolf spojuje laryzował amerykański dramaturg Edward Albee tytułując jedną ze swych sztuk „Kto się boi Virginii Woolf?”, choć treść sztuki nie ma absolutnie nic wspólnego ani z ową pisarką, ani z jej twórczością.

Virginii Woolf (1882-1941) pisała powieści, zajmowała się krytyką literacką, uprawiała publicystykę. Jako powieściopisarka była przedstawicielką awangardowej literatury psychoanalizy, stosowała podobnie jak Joyce technikę „strumienia świadomości”, monologu wewnętrznego. Jej piarstwo jest trudne, wymagające znacznego wysiłku od czytelnika. Do najwybitniejszych powieści Virginii Woolf należą m. in. „Pokój Jakuba”, „Pani Dalloway”, „Do latarni morskiej”, „Fale” i „Lata”. Jest to cykl powieściowy składający się na sagę rodzinną.

Obecnie Biblioteka Publiczna w Nowym Jorku zakupiła manuskrypt „Dziennika” prowadzonego przez Virginie Woolf od roku 1915 do 1941. Dziennik składa się z 27 tomów, zawierających w sumie 2.253 strony. Pamiętnik ten kończy się na cztery dni przed samobójczą śmiercią pisarki.

Nowojorska Biblioteka Publiczna posiada większość rękopisów powieści, nowel i esejów Virginii Woolf. Posiada także 1.000 listów pisarki i jej notatki.

W STULECIE URODZIN PROUSTA

W związku z setną rocznicą urodzin Marcela Prousta, która przypada na 10 lipca br. we Francji przygotowano szereg publikacji dla uczczenia pamięci pisarza. I tak ukazał się w druku pierwszy tom „Korespondencji” przygotowany przez jednego z najwybitniejszych specjalistów Philipa Kolba. Została wydana, opracowana przez Georga D. Paintera, dwutomowa biografia pisarza. Pismo „Europe” poświęciło specjalny numer twórczości i życia Prousta. Wydawnictwo Gallimarda publikuje też reszty t.zw. „Cahiers Marcel Proust”. Ukazały się już dwie rodzaje publikacje.

ŚMIERĆ KOMPOZYTORA

Niedawno zmarł w Paryżu na atak serca znany kompozytor francuski Henri Tomasi. Niemal do ostatnich chwil swego życia

pracował nad swymi kompozycjami. Urodził się w roku 1901 w Marsylii. W roku 1927 została laureatem Wielkiej Nagrody Rzymu za swe prace kompozytorskie. Był autorem wielu oper takich jak: „Atlantyda”, „Miguel Manara” i „Sampiero Corso”. Był też autorem wielu utworów muzyki baletowej.

WYSTAWA LUDOWEJ SZTUKI MACEDOŃSKIEJ

Macedonia — kraj położony w środkowej części Półwyspu Bałkańskiego, w znacznej swej części wchodzi w skład Jugosławii tworząc Republikę Federacyjną ze stolicą w Skopje. Inne części Macedonii należą do Grecji i Bułgarii. Macedonia ma bogatą historię, różnym też podlegała wpływom kulturowym. W starożytności była samodzielnym królestwem, które w wieku IV p.n.e. wyrosło na potężne imperium. Król Filip II Macedoński zdobył Grecję,

Macedonia, dawniej także potężna, stała się już tylko królestwem prowincją. W średniowieczu należała do Bizancjum to do Bułgarii. W wieku XIV wchodzi w skład Serbii, a następnie zostaje zawojowana przez Turcję. Po wojnach bałkańskich 1912-1913 zostaje podzielona między Grecję, Serbię i Bułgarię. Po I wojnie światowej od pokoju w Neuilly w roku 1919 większość tej krainy należy do Jugosławii.

Obecna paryska wystawa ludowej sztuki macedońskiej pokazana w Paryżu wywołała tam duże zainteresowanie. Francuzi zachwycają się zwłaszcza nie zwykłą barwnością ludowych strojów. Poza tym znalazły się tu piękne wyroby ceramiczne, artystycznie wykonane kędziele, młynki do kawy i inne przedmioty codziennego użytku, ozdoby niezwykle kunsztownie i pracowicie wykonane ze szklanych kolorowych paciorków itd. Sztuka ta pochodząca z



jego syn Aleksander Wielki tak dobrze nam znany z historii starożytnej, stworzył ogromne państwo w którego skład wchodziły już nie tylko Macedonia i Grecja, ale podbite imperium perskie i Egipt. Od r. 146 p.n.e.

kraju leżącego na styku różnych oddziaływań kulturowych jest niezwykle ciekawa i różnorodna. Sztuka ludowa Macedonii — jak to podkreśla recenzent „L'Humanité” — jest otoczona w Jugosławii troskliwą opieką.

Bez strachu

INWENTARZ

Mam mieszkanie, starożytnie meble, niemodną bieliznę. Mam liczne, ale nie użyte ubrania i buty, wiele par butów. Kiedy wieczorem leżę w łóżku i nie mogę zasnąć, wydaje mi się, że mieszkanie wisie w pustce, oderwane od innych mieszkań, od sąsiadów. W tej pustce strasznie mnie olbrzymie buty buczone czarnymi sznurowadami, buty podnoszą się w górę i w dół. W tej pustce niewidzialne ręce unoszą moje stare meble i widzę niezmiernie kredensy o szufladach, pełnych zapachanych kartek. W tej pustce wiszą moje stare ubrania, marynarki, których ramionami ktoś właśnie wzruszył, spodnie, w których ktoś biegł. W tej pustce wszystkie przedmioty mają barwę neutralną i nie są ani zimne, ani ciepłe. Moje myśli przed-senne okręcają się wokół drobiazgów i nie mogą oderwać. W tej pustce nie ma zresztą drobiazgów i rzeczy wielkich, jest to pustka bezmierna, bezmiary. Przypominam sobie własne ciało zagubione na wielowymiarowej ciemności. Ile to mam miliardów komórek, jakie to morza krwi uderzają w kosmicznej burzy mego serca. Jadam i podlegam zjadaniu — wszystko to tylko drobne części mnie. Mnie się o atomach mego ciała, o ich protonach, elektronach, o maleńkich układach słonecznych, o narodach planet, krążących wokół protonowych jąder. Jeżeli na elektronach żyją rozumne istoty i jestem ich bogiem, nigdy nie spełnię ich modlitwy, bowiem otkowite ich dzieje są mniejsze niż ułamek ludzkiej sekundy. Modlą się zatem nadaremnie — mój ogrom nie jest ogromem mocy, ani ogromem mądrości, jest to ogrom bezwładu — gdzie jest rozum mego biologii i mego fizyki. Przypominam sobie starą kobietę, którą widziałem w czasie dnia — spacerowała po parku i mówiła bardzo głośno do towarzyszek. Zapomniałem już co mówiła, mimo, że mówiła bardzo głośno. Ciągle nie moge zasnąć, wydaje mi się, podobnie jak każdego wieczoru, że dalsza ciemność jest szczytowa, niepowtarzalna, gdybym ja do głębi pojął, a nie tylko zobaczył... Gdybym zdołał ją opisać jako sprawę konkretną. Nie potrafię — to samo przeświadczenie nawiedza mnie przecież każdego wieczoru. Oto siedzę przy stole i niepowtarzalnym długopisem piszę o niepowtarzalnej ciemności. Głosy dnia spadają we mnie jak karty — to dzisiaj ktoś mi powiedział: „Niech pan pisze o sprawach konkretnych”. Przypomniałem sobie słowa starej kobiety, wypowiedziane wielokrotnie w parku, mówiła bardzo głośno: „Ja nie mam nikogo, ja przecież nie mam nikogo” i patrzyła, marszcząc powieki w bezlistne krzaki, tak, jakby chciała za ich szkieletami kogoś zobaczyć.

BERNARD SZTAJNERT



JERZY WIDOK



WANDURSKI

KSIAŻKA HELENY KARWACKIEJ — ZROŚNIĘTY Z ŁODZI — PLAKATY SCENICZNE — CO PISAŁ ŻEROMSKI? — NOWA SCENA ROBOTNICZA — TWÓRCA GODZIEN HOLDU

Pionierem i twórcą teatrów robotniczych w Polsce okresu dwudziestolecia międzywojennego nazwał Władysław Broniewski Witolda Wandurskiego. Nie ma w tym zaszczytnym tytule cienia przesady i tylko możemy być dumni, że twórczość i działalność Wandurskiego rozkwitała właśnie w Łodzi. Dodajmy — w mieście, które przez lata całe nie nazwało żadnej ulicy imieniem tego poety i dramaturga. Nie nosi jego imienia żaden z Domów Kultury tego miasta, choć całe swoje życie poświęcił Witold Wandurski rozwijaniu i wzbogacaniu proletariackiej kultury.

O Wandurskim pamięta natomiast środowisko naukowe i literackie Łodzi, pamięta Wydawnictwo Łódzkie... W swoim czasie ukazała się cenna książka Heleny Karwackiej, ostatnio ta sama autorka opracowała „Plakaty sceniczne” Wandurskiego. Planuje się opublikowanie tomu prac publicystycznych.

To dużo, to bardzo dużo, choć nakład „Plakatów scenicznych” nie przekracza 800 egzemplarzy i jest praktycznie drukiem bibliofilskim raczej, niż szeroko popularyzującą działalnością pisarza. Ale cóż robić, nakład determinowany jest także stopniem zainteresowania twórczością

Wandurskiego w kręgach oficjalnych działaczy kulturalno-oświatowych. A właśnie tam postać Wandurskiego jest mało znana, a może po prostu tylko niedostrzegana?

Dziwno to trochę, bo przecież postać i działalność Witolda Wandurskiego zrosła się tak mocno z Łodzią, choć nie urodził się w Łodzi, a i zmarł bardzo daleko od jej dymiących kominów i nawet nie wiadomo gdzie jego grób i jaka jest data śmierci. Ale właśnie tu, w Łodzi, pozostał Wandurski to, co było w jego życiu najważniejsze. Pozostawił historię i legendę swojej Sceny Robotniczej.

To właśnie do Łodzi przyjechał Wandurski w latach dwudziestych z Moskwy; użeczony — jak pisze Helena Karwacka — magią teatru, reformatorską twórczością Meyerholda, Tairowa i Wachtangowa, z bagażem bogatych doświadczeń teatralnych. I tu rozpoczął nowatorską działalność w amatorskim ruchu teatralnym, dziedzinie życia kulturalnego szerokiej mas nie otaczanej dotychczas zbyt dużą troską władz i ludzi teatru.

Swymi propozycjami gruntownego zreformowania ludowego teatru, dostosowania jego skromne-

go aparatu technicznego do wymogów nowoczesnej inscenizacji, szukaniem inspiracji w skarbnicy ludowych podań — wzbudził Wandurski żywe zainteresowanie w tamtych latach. Pisał o nim m. in. Stefan Żeromski: „W artykułach (...) Witolda Wandurskiego poruszona została ze strony technicznej kwestia inscenizacji podań ludowych i przygotowana poniekąd do wystawienia baśń o „Małejowym łożu”. Jest to już pierwszy krok w kierunku realizacji tej wielkiej sprawy, która mieć może nieobliczalne następstwa w dziele wdrożenia w prosty lud polski sprawy rzeczywistego artysty, gdy będzie mógł ujrzeć na jawie zbiorowo — zbiorowe widziadło co się snują od wieków dookoła węglów jego schronisk tułacznych”.

Wandurski poszedł jednak dalej — nie poprzestął na inscenizację ludowych baśni — ale zaczął tworzyć własne „Plakaty sceniczne”. W 1928 roku opublikował w komunistycznym wydawnictwie „Książka” zbiorek „Nowa scena robotnicza” z utworami Majakowskiego, Grolla i Brauna i w tym samym roku napisał swój pierwszy „Plakat” — „Głęboka światłowa”. Tworząc nowy repertuar dla amatorskich

scen, Wandurski osiągnął postawiony sobie cel — zreformował robotniczy teatr, ukształtował jego nowe oblicze ideowe i artystyczne, precyzując zadania, metody pracy, środki wyrazu i formy artystyczne sceny robotniczej, działającej w warunkach ustroju kapitalistycznego.

Potem przyszły dalsze utwory — „Gra o Herodzie”, „W hotelu „Imperializm”, „Wbrew” — tak pieczołowicie zebrane w opasty tom przez Helenę Karwacką i pięknie, choć stroinnie wydane przez WL.

I znowu wracam do punktu wyjścia. Dobrze, że ukazują się pamiłkowe pozycje WL, będące sumą działalności Witolda Wandurskiego. Ale szkoda, że nie upamiętniono tego nazwiaka jako bardziej na co dzień — przez nadanie jego imienia Domowi Kultury, szkole, a może nawet teatrów? Czy to tak wiele dla upamiętnienia działalności człowieka, który tworzył w Łodzi w pełni dojrzały i skrytykowany model teatru politycznego? Myślę, że Wandurski godzien jest jakiegogo gestu, godzien holdu ze strony miasta, w którym pozostawił swoje pasje i swoje idee.

GANGSTER

Jim Ollien wstał od kasy i podszedł do okna. Wspominał niedawną przeszłość. Siedem lat temu wyszedł z więzienia i znalazł pracę kucharza w restauracji. Oczywiście nikt tu nie wie, że był już dwa razy karany, a nawet kiedyś nacisnął spust rewolweru w czasie napadu na bank. Pracując forsowo nie przez kilka lat nie pokazywał się nikomu, oszczędzał wszystkie zarobione w restauracji pieniądze. Gdy właściciel za chorował i musiał lokal sprzedać, Jim bez wysiłku zapłacił gotówką i odtąd sam prowadził przedsiębiorstwo.

Restauracja mieściła się w do godnym punkcie, przy głównej drodze, panował tu nieustanny ruch. Majątek byłego więźnia stale rósł. Ollien został członkiem miejscowej Izby Handlowej, wybrano go przewodniczącym Towarzystwa Gastronomicznego.

Lecz największym skarbem Jima była Stella, pierwsza kelnerka. Patrzył z dumą na jej zgrabną sylwetkę, gdy się pochylała przy stołkach przyjmując z miłym uśmiechem zamówienia od klientów. Jako pracownica była bez zarzutu, w stosunku do natarczywych gości umiała zachować rezerwę a jednocześnie uprzejmość.

Jim nie pytał o jej przeszłość. Zauważył, że niechętnie jeździ do miasta po zakupy, rzadko chodzi do kina. Wolny czas spędza w swym mieszkaniu niedaleko od lokalu...

Stuk monety o ladę przerwał rozmyślania Olliena. Na stoliku siedział olbrzymiego wzrostu mężczyzna i niecierpliw się, Jim podał mu jadłospis i położył nakrycie. Niezadowolony odrzucił kartę i zawołał: — Krewetki z sosem!

— Przykro mi — wyjaśnił gospodarz — lecz nie ma ich w dzisiejszym jadłospisie. Kucharz jest w tej chwili zajęty.

— Krewetki z sosem! Proszę je przynieść i to szybko!

Ton głosu mężczyzny rozbudził jakieś wspomnienia w pamięci Jima. Przyjrzał się lepiej olbrzymowi.

— Herman! — krzyknął przerażony. — Kiedy... Jak wyszedłeś?

Herman Giffen uśmiechnął się szyderczo. — Wszystko w najlepszym porządku, Jim, wyszedłem

frontową bramą. A teraz przynieś mi to, co kazalem!

Jim poszedł do kuchni. Za chwilę weszła Stella. Zdziwiła się, że przygotowuje krewetki.

— Co się stało?

— Zamówienie specjalne, na którym klientowi zależy.

— Czy i klient specjalny?

— Tak, bardzo.

Herman zjadł łokciem krewetki, potem rozejrzał się wokół.

— Myślę, że wejście do twojego interesu, Jim. — Wskazał na Stellę: — Czy ta jest częścią lokalu?

Ollien nagle oprzytomniał. — Ta kobieta nie jest częścią niczego! — odparł wojowniczo.

Giffen roześmiał się. — Zobaczymy później. Teraz wychodzę, wróć tu po zamknięciu lokalu.

Stella znalazłszy wolną chwilę zbliżyła się do Jima.

— Powiedz mi, o co chodzi?

— Nie mogę mówić, to jest niebezpieczny typ.

— Niebezpieczny, dla kogo?

— Dla nas obojga, dla ciebie i dla mnie.

Kobieta wruszyła ramionami.

— Niewiele się zyskuje uciekając od kłopotów.

— Stella, nie mieszaj się do tego! Przypomnij sobie, wczoraj wieczorem wstąpił tu policjan ci na kawę. Szukali jak wściekłą kaszlarza, który włamał się do teatru i do banku. To jest technika Hermana, nie zostawia nigdy najmniejszego śladu odciśków, pracuje w gumowych rękawiczkach.

Kobieta przyglądała mu się bacznie. — Jaką władzę ma nad tobą?

Jim odwrócił głowę. Wiedomość w świecie przestępców wędrują szybko. Herman zapewne wiedział o napadzie na bank i o zabiciu współnika. I teraz przyszedł...

— Nie chcesz mówić — rzekła Stella.

Weszli nowi klienci, lokal zapelniał się. Przybyły trzy kelnerki, które pracowały w czasie dużego ruchu. Dopiero o północy Jim mógł zamknąć restaurację.

— Czekać na ciebie w domu? — zapytała Stella.

— Dzisiaj nie, muszę przejrzeć listę wydatków na jutro.

Kobieta wyszła bez słowa.

Ollien zamknął drzwi, założył podwójne rygle i zgasił światło. Kilka minut później ktoś zaczął walić do drzwi, aż szyby zadźwięczały. Jim otworzył.

— Co ci przyszło do głowy, że mi każesz tak długo czekać? — sztychł Herman. — Nie kochasz już swego towarzysza więziennego?

— Wszedłem na prostą drogę i chcę być uczciwy.

— Czyżbyś już zapomniał o tej robocie w National Bank, gdzie Skina ogarnęła panika, ponieważ kasjer zbyt powoli poruszał się przy wydawaniu pieniędzy?

— Mnie tam nie było.

— Jak to, stałeś przy samochodzie, który czekał na Skina. Policja zdjęła odciski palców z lusterka. Nie zidentyfikowała ich, lecz gdy ktoś im podszepnie, żeby je skonfrontować z tobą, przeniosą cię z tego miękkiego stołka za kasa na krzesło elektryczne.

Ollien czuł, że mu pot spływa z czoła. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł znaleźć słów. Mówił dalej Herman.

— Zrobłem tu parę skoków, zrobię jeszcze jeden, a potem chcę się ustabilizować. Zostanę twoim współnikiem, potrzebujesz opieki. Będę twoim opiekunem.

Gangster zbliżył się do kasy, otworzył szufladę, była pusta.

— No wiesz, Jim, nie powinien urządzać takich kawałów swemu przyjacielowi. Gdzie schowałeś dzisiejszy zarobek?

— Idź do diabła, chcę żyć, jak człowiek uczciwy!

Olbrzym przysunął się o dwa kroki, jego ręka spadła na policzek Jima, potem na drugi. Bili poki się nie zmęczył. — A teraz porozmawiamy rozsądnie — rzekł. — Mój udział będzie wynosił 50 proc. Od czasu do czasu przyjdę tu, zabiorę połowę zarobków i sprawdzę, czy mnie nie oszukujesz. Patrzcie, jak dobrze wygląda mój współnik! I jaką ma ładną kobietkę, ale pamiętaj, mam 50 procent na wszystko!

Nikt nie zauważył, kiedy weszła Stella. Niespodziewanie usłyszał jej głos: — Jim, co wie o tobie ten człowiek?

Herman odwrócił się. — Proszę bliżej, ślicznotko! Zostałem właścicielem połowy tego przedsiębiorstwa. Proszę przedstawić się nowemu zwierzchnikowi.

Kobieta nie poruszyła się.

Herman podszedł do Olliena.

— Gdzie jest kasa pancerna? Potrzebne mi są pieniądze, muszę załatwić ważną sprawę dziś wieczorem.

Ollien skłonił się do kuchni. — Pieniądze są tutaj — rzekł wskazując półkę, na której wisiały noże kuchenne.

W oczach Hermana pojawił się błysk wściekłości, wyciąg-

nął rewolwer. — Prześnię, Jim, nie udawaj przed dziewczyną odważnego, porzuć żarty! Ty i tak leżysz, wystarczy, że przy pomnę policji sprawę owego banku. A więc co wybierasz?

Na to pytanie odpowiedziała Stella. Głos jej był spokojny i jasny. — Niech pan mu nie robi nic złego, zaraz pan otrzy ma pieniądze.

Olbrzym schował rewolwer. — To mi się podoba. Powiedz swemu nowemu zwierzchnikowi, gdzie jest kasa. Otrzymasz część majątku. A mój współnik szepnie mi na ucho kombinacje cyfr.

— Kasa jest schowana za ladą w ścianie przedziałowej. Proszę podnieść te okienka i...

— Stella! — krzyknął Jim. — Prześnię!

Herman uśmiechnął się. — Już za późno, mój chłopcze. — Poszedł za ladę, oparł ręce na drewnianych płytach ściany przedziałowej. Płyty zsunęły się odkrywając drzwiczki kasy.

— A teraz proszę o kombinację cyfr.

— Nie powiem, idź do diabła! — krzyknął Ollien.

— Herman zacisnął pięść. — Zaraz cię nauczę, jak należy szanować...

Przerwał mu głos Stelli. — Niech pan go zostawi. Jim nie chce skończyć na krześle elektrycznym. Kombinacja jest taka: 97, cztery razy na prawo...

Z wielkim napięciem dyktowała jedną cyfrę po drugiej. Według jej wskazówek Herman kręcił tarczę aż drzwiczki kasy otworzyły się.

— Wspaniale! wspaniale! — wykrzykiwał napelniając kiesze nie banknotami i monetami. — Widzę, że dziś miałeś dobry dzień!

— Jest jeszcze banknot studencki w księdze głównej — rzekła Stella spokojnie.

Olbrzym przekartkował księgę, wyciągnął banknot, przy którym naronżnik był lekko naderwany. — Dziewczynko kochana, bardzo mi pomogłaś, nie zapomnę o tobie! — Spojrzał na Jim'a i wybuchnął śmiechem. — Nie rób takiej zrozpaczonej miny! Dam ci nieźle zarobić, żebym tu pozostał i doglądał interesu. A teraz muszę już iść, wróć za kilka godzin. Czekaj na mnie, Stella. — Wyjrzał ostrożnie na drogę i znikł w ciemnościach.

— Ty!!! — krzyknął Ollien. — Zdradziłaś mnie! Powiedziałaś gdzie jest kasa, wskazała kombinację i nawet te sto dolarów...

— Nie mogłam znieść myśli, że cię skrzywdzi.

— Nie znasz Giffena, nie wiesz, co cię czeka...

— Dość tego — przerwała mu kobieta. — Jeżeli chcesz, żeby

inni za ciebie myśleli, pomysł jest!

Spojrzał na nią zdziwiony. Stella poszła do schowka, i wróciła stamtąd z żelazną sztabą. Zbliżyła się do kasy na ladzie i rozbiła ją doszczętnie. Tą samą sztabą wyważyła szufladę. Potem otworzyła tylne drzwi lokalu, wyszła na ulicę, zamknęła drzwi, następnie podważyła je sztabą, aż rozprysły się kawałki drewna.

Ollien znieruchomiał ze zdumienia wyjął: — Co robisz?

— Bądź cicho! — Wróciła do lokalu i sztabą roztrząsała tarczę kasy pancerne. Na koniec wzięła z kuchni ręcznik i wyczyściła dokładnie żelazną sztabę z odcisków.

— A teraz chodźmy — rzekła.

— Dokąd? — zapytał oszołomiony Jim.

— Do Yumy. Weźmiemy tam ślub. Musisz mieć kogoś, kto się będzie tobą opiekował.

— Dobrze, ale nie rozumiem, dlaczego wywróciłaś cały lokal?

— Dowiesz się jutro z gazet. Dwa dni później przeczytał dziennik z ich miasta. Wielkie nagłówki mówiły: „Restauracja rozbita w czasie podróży poślubnej właścicieli. Giffen zabity podczas utarczki z policją”. Dalej wyjaśniono, że pan Ollien

telefonowała z Yumy do redakcji tora kroniki towarzyskiej, że ona i Jim Ollien zawarli małżeństwo w Yumie. Policja zawiadomiła Olliena, że dozorca kontrolując okolicę restauracji około 1 w nocy zauważył rozbite wejście. Przyjechała policja i znalazła na obu kasach odciski palców, zidentyfikowano je jako należące do Giffena, który widocznie zapomniał tym razem o rękawiczkach. Tego samego dnia przybyła do komydy kasjerka Olliena i oznajmiła, że po napadach na bank i teatr obawiała się, żeby złodziej nie włamał się do kasy restauracji i dlatego pozostawiła tam banknot studencki z urwanym naronżnikiem. Brakujący kawałek przyniosła do komendy.

Lecz gdy policjanci zjawili się, aby aresztować Giffena, ten wy ciągnął rewolwer i obustronna strzelanina zakończyła się jego śmiercią. Przy zmarłym znaleziono banknot studencki z urwanym naronżnikiem. Brakujący kawałek przyniosła do komendy.

Gdy policja zawiadomiła Olliena o włamaniu, odpowiedział: — Do diabła interesy!... Przecież jestem w podróży poślubnej!

Opracowała A. S.



Lewym okiem

DRUGIE CO DO WIELKOŚCI...

Cybernetycy przekonali nas już o tym, że prawie wszystko da się przetłumaczyć na język liczb, ale po co zaraz cybernetyka: wystarczy spędzić wieczór na kartkowaniu pękatego tomiska — Rocznika Statystycznego. Wprawdzie spojrzenie poza drobniutki szeregi tysięcy a tysięcy cyfr, dostrzeżenie obrazu, na który one się składają, wymaga sporego wysiłku i uwagi, za to ten obraz jest autentyczny, niezbity, o ileż więcej wart niż pełna omyłek i skrzywień subiektywna impresja.

Wiemy już na przykład z wielu publikacji, że nasze miasto jest ubogie w hotele. Więc nawet nie bardzo zaskakuje nas tablica, z której wynika, że wskaźnik wykorzystania łóżek hotelowych w Łodzi wynosi aż 98,7 proc. i pozostawia daleko w tyle wszystkie inne miasta w kraju. Nie jest to wskaźnik radosny. Ale czy wiecie, że Łódź — drugie co do wielkości miasto w Polsce — jest także na drugim miejscu, zaraz po Warszawie, jeśli chodzi o umiłowanie teatru?

Płóść sprzedanych biletów teatralnych w stosunku do liczby mieszkańców Łodzi świadczy o tym, że każdy łodzianin, od oseska po zgrzybiałą staruszkę, bywa prawie dwa razy w roku w teatrze. Częściej niż mieszkańcy Krakowa i Poznania, którzy od dziesiątków lat chlubią się — słusznie zresztą — posiadaniem świetnych scen: wiekowej tradycji kulturalnej, wspólnych reżyserów i aktorów. Prawda, że sprzedajemy bilety także wycieczkom spoza miasta. Ale to samo dzieje się i tam, a jeśli chodzi o stolicę — to na pewno na znacznie większą skalę. Mimo więc tej poprawki ilość 1981 widzów w łódzkich teatrach na każdy tysiąc mieszkańców rocznie to wskaźnik bardzo duży. I niech nikt więcej nie śmie powiedzieć, że jesteśmy mało „teatralnym” miastem.

Trochę gorzej jest z częstotliwością uczęszczania do kina: jesteśmy na piątym miejscu wśród województw, licząc za województwa także miasta wydzielone. Ponieważ takich miast jest pięć — jesteśmy wśród nich na miejscu ostatnim. Ale też — popatrzcie, ile mamy miejsc w łódzkich kinach: najmniej, licząc w stosunku do liczby mieszkańców! Mniej od „miasta Łodzi” ma tylko województwo warszawskie (bez stolicy) i kielecki! Zupełna prowincja, a jeszcze jak się zważy, że największe kina są w przebudowie lub w remoncie całymi latami, nie ma się czemu dziwić, że przy co lepszym filmie koniki prosperują świetnie i nie myślą o zmianie zawodu.

Mamy najmniejszy ze wszystkich województw i miast wydzielonych przyrost naturalny, ale mamy też jeden z najniższych w kraju wskaźnik śmiertelności noworodków. Tylko w Poznaniu i Wrocławiu mniej nowo urodzonych dzieci w stosunku do tysięcy urodzin schodzi za światła w pierwszych tygodniach życia. Świadczy to o dobrym poziomie położnictwa i opieki nad matką i dzieckiem. Nie wiem o czym świadczy fakt, że co do liczby rozwodów plasujemy

się na drugim miejscu, tuż za Warszawą. Widocznie jest coś takiego w atmosferze wielkich miast; może to stosunkowa łatwość zdobycia pracy przez kobiety, która dzięki temu staje się odważniejsza, może większa anonimowość życia osobistego, łatwość ukrycia się przed opinią, sprzyjająca nawiązywaniu brzemiennych w konsekwencje romansów?

Istnieje jednak większy powód do zmartwienia: tylko Warszawa i Kraków wyprzedzają nas co do liczby nowych, świeżo zarejestrowanych zachorowań na gruźlicę. To jest ważna i poważna sprawa, wymagająca niewątpliwie dużej mobilizacji opinii publicznej w kierunku uaktywnienia działań profilaktycznych, odpowiedniej propagandy i oczywiście dalszego rozwoju lecznictwa ftjzjatrycznego.

Wreszcie coś z terenu najbliższego „Odgłosom”: czytelnictwo. Z Rocznika Statystycznego wynika, że na każdego mieszkańca Łodzi przypało w roku 1969 — 119 egzemplarzy gazet codziennych i 21 egzemplarzy czasopism. Powiedzmy, że aż trzecią część mieszkańców miasta stanowi dzieciarnia nie zainteresowana jeszcze żadnym słowem drukowanym — to i tak okaże się, że nie każdy dorosły kupuje co dzień choćby jedną gazetę. Ze nikt nie kupuje systematycznie przynajmniej raz na tydzień przynajmniej jednego tygodnika. Smutne to, bo znów musimy powiedzieć: wśród pięciu największych miast wydzielonych jesteśmy na miejscu ostatnim. Jesteśmy zaledwie ciut — ciut ponad przeciętną krajową, obejmującą wszystkie miasteczka, wioski, siola i osady, mimo, że mamy wśród nas ponad 24 tysiące studentów, drugie tyle licealistów, wiele tysięcy inżynierów, lekarzy, dyrektorów, naczelników i prezesów. Nie rozumiem tego. Chciałbym, żeby to był błąd drukarski w Roczniku Statystycznym. Może w przyszłym roku tego błędu nie będzie?

CWIEK